NR 13 (89)
ROK III

TYDZIEŃ

4.IV.1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



FOT. J. ARTHUR RANK ORG.

Banialuka 1.IV. (Depesza własna). W trzecim dniu Międzynarodowego Kongresu Żon przyjęto wśród ogólnego entuzjazmu przez aklamację wniosek delegatki falklandzkiej — by zwrócić się do parlamentów świata z energicznym żądaniem natychmiastowego wydania ustaw, zobowiązujących w rygorystycznej formie wszystkich mężów — bez względu na wiek, konstytucję fizyczną i uboczne zamiłowania — do bezpośredniego 50%-wego udziału w pracach związanych z gospodarstwem domowym. Dyspozycje i dyrektywy będą wydawać żony. Poprawka słynnej feministki Ksantypy Megiery, by wstawić to zobowiązanie do formuł ślubnych w dodatkowym głosowaniu — na szczęście upadła.

NASZ WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"

PATRZ KOMUNIKAT NA STRONIE 5



93 Jędruś Węglarz (Poznań) zrywa kwiatki dla mamusi



43. Basia Łyczakowska (Warszawa)



107. Wiki musi iść spać



Z CYKLU: „POZNAJEMY DZIECI CAŁEGO ŚWIATA"

Tym razem to nie Warszawa, chociaż tłem są również ruiny, ruiny... Dzieciarnia bohaterskiego Stalingradu wędruje do domów po zajęciach szkolnych. Fot. SIB — Moskwa



109. Pierwszy raz na trawie



88. Marek Dardas (Szprotawa)



120. Łobuzek z Wrocława ma osiem miesięcy



59 Witold Zaborowski (Poznań)



92. Aluś (Warszawa)



94. Rysio Ciemiński (Kartuzy)



104. Stasio Cesarczyk (Płock)



89. Pierwsze spotkanie Wiesia z aparatem



112. Wojtuś - muzyk (Łódź)



100. Najmłodszy harcerz (Lwówek Śląski)



111. Elżunia Jakubiec (Chełm Lubelski)



85. Mały Grześ zamyślił się nad ważnym problemem



116. Marysieńka wypatruje w objektywie obiecanego ptaszka



103. Tomek, jeden z trzech „budrysów"



110. Szczęście w wózku



113. Witek z Lublina rozkoszuje się wiosną



97. Heniuś Pniewski (Brodnica)



119. Bohdan Szrejder (Warszawa)



114. Krysia Skrzypkówna (Gdynia)



Nr 49. Anulka Wierzbicka na minutę przed płaczem



82. Jasio i Wiesio Goreccy (Warszawa)

ALEKSANDER THEN

NA GRANICZNEJ MIEDZY

Wydaje się być nie do pojęcia, że dwa narody (mówimy na razie tylko o Polakach i o Czechach), żyjące od pierwszego zarania dziejów w bezpośrednim sąsiedztwie geograficznym i posiadające tyle wspólnych więzów historycznych mogły żyć przez kilka dziesiątków lat w stosunkach sąsiedzkich jak najgorszych, w atmosferze wzajemnej nieufności, sporów i pieniactwa. Rzadkie patetyczne momenty zbratania na jakimś kongresie słowiańskim, na zjeździe sokolskim, czy na 500-letniej rocznicy Grunwaldu w Krakowie nie mogły się przyczynić do poprawy tych stosunków, które nie były oparte na zbliżeniu mas, lecz na sporadycznych spotkaniach wybranych przedstawicieli. Bo już między owymi przedstawicielami były głębokie różnice. Czechów reprezentowali synowie ludu, młoda samorodna inteligencja ludowa, bo po katastrofie narodowej pod Białą Górą w 1620 r. w Czechach pozostał tylko lud. A Polaków reprezentowali Lubomirscy i Sapiehowie, a na dodatek jakiś historyk i jakiś radykalniejszy poseł do austriackiego parlamentu.

Zdawało by się, że wspólna niedola obu narodów, powinna je była zbliżyć do siebie, natchnąć do współpracy, do ścisłego porozumienia. Ale może ta niedola właśnie i niewola była najgłówniejszą przeszkodą na drodze do zbliżenia. Czesi znaleźli się całkowicie pod panowaniem austriackim. Naród polski żył podzielony i rozdarty. Zbliżenie między Czechami, a Polakami z zaboru austriackiego nie mogło być zbliżeniem z całym narodem polskim.

Jeszcze podczas pierwszej wojny światowej, gdy widoczne się stawało, że zbliża się wielki moment historycznego przełomu, obie strony w swych maksymalnych programach potrafiły się porozumieć tylko formalnie, nie faktycznie. Wtedy bowiem, w obliczu nadchodzącej niepodległości, przed obu narodami wyłoniło się zagadnienie skrawka ziemi granicznej, które z biegiem lat wyrosło na sąsiedzkiej miedzy do wielkości problemu Alzacji i Lotaryngii i skupiło na sobie uwagę obu narodów, choć w kompleksie wielkich zagadnień, które powinny były zbliżyć oba narody, ten skrawek ziemi był dla nich mało istotny.

O prawdziwej wielkości narodu świadczy jego zdolność uznawania swych błędów. W okresie swej odrodzonej po drugiej wojnie światowej niepodległości naród polski uznał, że błędem było pieniaczenie się o Zaolzie, że zbrodnią było pójście w ślady Niemców w okresie pomonachijskim. Zbyt szybko naród polski przekonał się, że utrata niepodległości Czechosłowacji stanowi o utracie niepodległości przez Polskę. Bo Czechy są najbardziej na zachód wysuniętym bastionem słowiańskim. W tych warunkach przed Polską stoi jedyny możliwy aksjomat, wzmacniania potencjału Czechosłowacji, jak przed Czechosłowacją wyłania się poważne zagadnienie wzmacniania potencjału Polski.

Nie jest to, oczywiście, warunek jedyny. Nawet silna Czechosłowacja nie potrafiłaby się sama jedna obronić przed Niemcami, jak silna Polska nie mogłaby się sama jedna przeciwstawić skutecznie Niemcom. Żadne megalomańskie deklamacje o mocarstwowym stanowisku Polski nie dodadzą jej siły do stawienia skutecznego oporu Niemcom, opartym zarówno o większy potencjał ludnościowy, jak i o ogromny potencjał gospodarczy.

Gdy przed rokiem doszło do zrozumienia tej najistotniejszej treści w europejskich stosunkach międzypaństwowych, gdy w Warszawie podpisane zostały pierwsze układy polsko - czechosłowackie, wszystkie trzy narody ze zdumieniem spostrzegły, że porozumienie było niesłychanie łatwe, że dokonało się w atmosferze prawdziwie braterskiej serdeczności, że wystarczyło uczynić tylko pierwszy krok na tej ciężkiej, ciernistej drodze, by okazała się ona gładką i prostą.

Nie ulega wątpliwości, że nauczycielami, którzy wskazali bratnim narodom słowiańskim wspólną drogę, byli Niemcy. Ci sami Niemcy nie potrafili niczego nauczyć Słowian przez lat tysiąc. Dopiero ich ostatnia wojna przeciw światu słowiańskiemu, wojna zniszczenia Słowiańszczyzny, wojna o biologiczne istnienie Słowian stanowiła najwyższą próbę, z której narody słowiańskie wyszły zwycięsko. W szczepowym zespole słowiańskim, który wiąże się coraz silniejszymi więzami, narody polski i czechosłowacki stoją na samym przedzie, na wysuniętej placówce naprzeciw Niemców i im przypadła podyktowana nakazem historii i racją stanu pozycja forpocztowa, najbardziej odpowiedzialna. Na wzajemnym głębokim poznaniu oparty sojusz polityczny staje się w naszych oczach przeciwwagą odradzającego się na zachodzie niebezpieczeństwa niemieckiego. Sojusz polityczny jednak byłby zjawiskiem oderwanym, gdyby nie było wzajemnego przenikania się narodów pod każdym innym względem. W stosunkach polsko - czechosłowackich najbardziej zasadniczym elementem jest wytworzenie ścisłej wspólnoty, a zlikwidowanie wszelkiej obcości. Wszystkie układy, konwencje i sojusze, podpisane dotąd między rządami obu państw zmierzają świadomie do tego celu, do podkreślenia i pogłębienia owej wspólnoty zarówno szczepowej, jak i sąsiedzkiej, do stosunków jak najbardziej braterskich.

W stosunkach gospodarczych czynnikiem łączącym jest fakt, że mimo pokrewnej struktury gospodarczej obu państw, uzupełniają się one gospodarczo.

Ostatnia wojna spowodowała znaczny przewrót na pograniczu czechosłowacko - polskim zarówno pod względem politycznym, jak i ekonomicznym. Granica niemiecka z obu krajami słowiańskimi została na skutek przyłączenia do Polski Ziem Odzyskanych znacznie skrócona, natomiast Czechosłowacja i Polska zyskały dłuższą wzajemną granicę. Polskie zagłębie śląsko - dąbrowskie łączy się obecnie bez przeskoku przez terytorium niemieckie z czeskim zagłębiem morawsko - ostrawskim. Wspólny potencjał tych zagłębi jest bardzo poważny. Mogą one już dziś produkować 90 milionów ton węgla i 4 miliony ton stali rocznie. Rzeka Odra daje Czechosłowacji dostęp do polskiego morza i wyjście na szeroki świat. Czechosłowacja przestała być krajem śródlądowym. Wspólny potencjał gospodarczy podniesiony zostanie przez budowę wspólnych zakładów przemysłowych po jednej i po drugiej stronie granicznej miedzy... Najświeższe umowy gwarantują obywatelom jednego kraju, zatrudnionym na obszarze drugiego kraju te same prawa, co obywatelom własnym, pod względem stosunku pracy, pomocy i opieki społecznej oraz ubezpieczeń socjalnych.

Jeśli sojusz, to sojusz w każdej dziedzinie. To nie tylko sojusz, który złączy we wspólnej walce trzy narody przeciw wspólnemu wrogowi, ale sojusz, który tak te narody zwiąże i złączy, by wynik śmiertelnej walki, gdyby ona kiedykolwiek miała nastąpić, przedstawiał się jak najmniej ryzykownie i niepewnie. Więc sojusz polityczny, gospodarczy, kulturalny, sojusz dusz i serc, sojusz nie tylko na święto, ale i na każdy dzień powszedni. Tylko taki sojusz wzmocni braterskie narody na pozycji forpocztowej, gdy na dalszej pozycji stać będą inne narody słowiańskie, gotowe nas wesprzeć w chwili krytycznej.

Kryzys socjalizmu zachodniego

Cała Europa przechodzi od chwili zakończenia wojny ciekawą ewolucję, która sięga kolejno do różnych dziedzin. W tej chwili ewolucję taką przechodzi socjalizm. Kryzys wynikł na tle stanowiska, jakie socjalizm zachodnio-europejski zajął wobec poważnych problemów europejskich. Nie tyle z przesłanek natury geograficznej, ile pod wpływem przeciwstawnych sił przyciągających, socjalizm europejski poszedł dwoma różnymi drogami. Socjalizm w Europie środkowej i wschodniej, związany aktywnie z tworzeniem i utrwalaniem ustrojów o typie demokracji ludowej, musiał iść znacznie bardziej na lewo, aniżeli szedł przed wojną w walce z ustrojem kapitalistycznym, czy z rządzącymi oligarchiami. Rewolucyjność wielkich przemian politycznych i społecznych wymagała stosowania rewolucyjnych metod, jeśli przemiany te miały zyskać charakter trwały. Na tej rewolucyjnej drodze musiało dojść na jakimś etapie do spotkania z partiami komunistycznymi i nawiązania z nimi ścisłej współpracy. Współpraca ta zaznaczyła się w wyniku utworzenia się na zachód od Niemiec i Włoch specyficznego typu ustrojów, w których zasady socjalistyczne, aczkolwiek nie wprowadzone integralnie, jak w Związku Radzieckim, stanowią przecież główny trzon ustroju.

W przeciwieństwie do tej ewolucji socjalizm zachodnio-europejski poszedł od chwili zakończenia wojny nie drogą z lekka odchyloną, lecz w zgoła przeciwnym kierunku. Wielkie zwycięstwo brytyjskiej Partii Pracy w r. 1945 otwierało wprawdzie przed socjalizmem brytyjskim wielkie szlaki, na które jednak rząd socjalistyczny nie wkroczył z całą determinacją, prawdopodobnie na skutek z jednej strony trudności gospodarczych, jakie rząd Partii Pracy odziedziczył po rządach wojennych, z drugiej strony hamowany przez tradycjonalizm brytyjski. W rezultacie Partia Pracy stała się typową partią reformistyczną, jakich w europejskim socjaliźmie było wiele przed wojną.

We Francji w licznych wyborach poprzedzających moment utworzenia Czwartej Republiki naród wypowiadał się stale za kierunkami lewicowymi. Ewolucja nastąpiła później, już nie pod wpływem opinii politycznej narodu, ale pod wpływem własnych dośrodkowych sił, które po złamaniu solidarności lewicy zaczęły opuszczać pozycje radykalizmu politycznego i społecznego i przesuwać się coraz bardziej na prawo. Charakterystycznym zjawiskiem w tej ewolucji była nieudana próba utworzenia z socjalizmu francuskiego trzeciej siły, mającej spełniać rolę buforu między lewicą, a prawicą.

Podobne przemiany przeszedł również socjalizm w sąsiednich krajach zachodnio-europejskich. Tylko główny pień socjalizmu włoskiego, mimo pewnych odprysków, pozostał wierny idei wspólnego frontu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wielką rolę w tej apostazji socjalizmu zachodnio-europejskiego odegrały wpływy amerykańskie. Rząd amerykański, używając pomocy finansowej i planu Marshalla jako potężnego instrumentu nacisku, zdołał pozyskać socjalizm zachodnio-europejski dla swych koncepcyj zarówno politycznych, jak i gospodarczych w Europie, które w rezultacie doprowadziły do podziału Europy, do jej ideologicznego rozbicia i do próby odrodzenia potęgi niemieckiej, jako jednego z żandarmów Europy.

Zwołanie Komitetu Międzynarodowych Konferencyj Socjalistycznych w Londynie w takim właśnie momencie rozchodzenia się dróg socjalizmu europejskiego nie było chyba przypadkowe, lecz świadome, było bowiem do przewidzenia, że niektóre sprawy, umieszczone na porządku dziennym obrad mogą doprowadzić do rozłamu. Nie przyznanie na czas wiz delegacjom socjalistów polskich i czechosłowackich nie było chyba również przypadkiem, szło bowiem o to, by na sesji Komitetu nie było nikogo, kto mógłby bronić słuszności założeń socjalizmu rewolucyjnego. W tych warunkach rozłam musiał nastąpić. Socjaliści włoscy opuścili sesję, czechosłowaccy zostali z Komitetu wykluczeni, a polscy i węgierscy powzięli decyzję wystąpienia z Komitetu.

Socjalizm zachodnio-europejski, który dostał się pod wpływy kapitalizmu amerykańskiego, przestał reprezentować idee czystego socjalizmu

TYDZIEN Nr 13 (89) ROK III
4. IV. 1948



Niemcy

SŁAWNY i zapewne znany już wszystkim instytut Gallupa postanowił zbadać zbawienne skutki amerykańskiej i angielskiej polityki reedukacji Niemców. Wyniki były rewelacyjne dla tych, którzy jeszcze wierzyli w możliwość nauczania Niemców przy pomocy metod przestarzałych i niezrozumiałych dla tego narodu. W czasie pierwszej ankiety w końcu 1945 r. 51 proc. Niemców zapytanych o to w strefach zachodnich oświadczyło, że pochwala w części lub w całości politykę Hitlera. Następnie w 1946 r. liczba zwolenników hitleryzmu zmniejszyła się do 40 proc. Ankieta przeprowadzona w r. bieżącym wykazała, że przeciętnie 55 proc. Niemców pochwala Narodowy Socjalizm przyczym odsetek ten dochodzi w strefie brytyjskiej (w Kilonii) do 60 proc.

Zamiast komentarza mały fakt: Historyk niemiecki dr Klempner przekraczając granicę strefy amerykańskiej miał ze sobą książki Tomasza Mahna, Gorkiego, Engelsa. Posterunek graniczny książki skonfiskował i zniszczył.

Włochy

JAK wiadomo Amerykanie głoszą, że pragną przyjść z pomocą biednym i ciężko doświadczonym przez los Włochom, pragną to uczynić oczywiście bezinteresownie.

Amerykańskie Towarzystwa zaofiarowały całkowitą przebudowę włoskiej sieci telegraficznej i telefonicznej. Bezinteresownie. Dostaną tylko koncesje na wyłączną eksploatację tej sieci przez bagatelne 25 lat.

Americana

W MAŁYM miasteczku Wrigatsville w Stanie Georgia miały się odbyć wybory do miejscowej Rady powiatowej. W myśl Amerykańskich przepisów i zwyczajów wyborcy muszą się sami zarejestrować. Nie ma tam spisów wyborczych ułożonych z góry przez powołane do tego władze. W mieście Wrigatsville 400 ciem noskórych obywateli Stanów Zjednoczonych zarejestrowało swoją wolę korzystania z podstawowych praw obywatelskich. W przeddzień wyborów przed lokal wyborczy zajechały samochody, z których wysiadło 249 mężczyzn i kobiet ubranych w białe koszule i kaptury Ku Klux Klanu. Dokładnie obliczono, że było ich 249 a nie więcej ani mniej. Oprócz gapiów zresztą bardzo licznych, przyglądali się widowisku również przedstawiciele miejscowych władz. Mówca Ku Klux Klanu nie nosił kaptura i nie taił nawet swojej tożsamości. „Chcą nam na rzucić równość społeczną i równość ras między białymi i czarnymi. Jeżeli to się stanie krew popłynie ulicami naszego miasta". Poczym tłum przedefilował przez ulicę wznosząc stosowne okrzyki.

Nazajutrz ani jeden Murzyn nie złożył karty do urny wyborczej.

*

Wiele hałasu i reklamy zrobiono w Stanach Zjednoczonych wokół pociągu szumnie nazwanego „pociągiem wolności", który objechał szereg miast amerykańskich w kampanii propagandowej i za tak zwanym „Europejskim programem pomocy" tzn. za planem Marshalla.

Zdarzyło się w mieście Nowym Orleanie na dworcu, stała liczna grupa dzieci murzyńskich wybierających się na wycieczkę pod nadzorem trzech swoich nauczycieli, również Murzynów. Gdy wjechał pociąg(ów głośny „pociąg wolności", niesforne Murzyniątka wleciały jak to dzieci do jednego z wagonów. Nauczyciel zwrócił się o pomoc w zaprowadzeniu porządku do dyżurnego oficera policji. Rozmowa się przeciągała, wobec czego również pozostali dwaj nauczyciele zbliżyli się do strażnika porządku. Rezultat: wszyscy trzej zostali aresztowani za opór władzy.

*

Komisja Spraw Zagranicznych Kongresu Stanów Zjednoczonych wysłuchała, o czym zresztą już wiadomo z depesz prasowych, zdania Henry Wallace'a na temat Planu Marshalla. Było to wydarzenie na tyle ważne, że poza prasą amerykańską również reporterzy filmowi i radiowi pragnęli pośredniczyć w jego przedstawieniu szerokim rzeszom publiczności amerykańskiej.

Przewodniczący Komisji nie zezwolił jednak na użycie mikrofonów i aparatów kinowych, które już od dawien dawna są zainstalowane w Gmachu Kongresu Amerykańskiego dla ułatwienia prasie, radiu i filmowi przedstawienia tego, czego sobie w danym momencie rządzące koła nie życzą.

*

W Ameryce są bardzo rozpowszechnione rozmaite automatyczne gry hazardowe, różne bilardy i automaty zręczności, polegające na tym, że naiwni usiłują za swoje parę groszy wygrać wielokrotną swojej stawki w nierównej walce z precyzyjną maszyną.

Nie dawno w mieście Chicago, stanął przed sądem przedsiębiorczy młodzian oskarżony o wykradanie pieniędzy z tych automatów. Wywiercał on po prostu dziurę w ścianie tych automatów i uprzedzając tak zwanych legalnych właścicieli zbierał daninę naiwności. Sąd uniewinnił go. Dlaczego? Instalowanie tych aparatów zręczności nie jest dozwolone przez prawo, nie jest jednak ścigane. Wobec tego kradzież kradzionych pieniędzy nie jest kradzieżą.

Budująca szkoła moralności.

USA

W MIARĘ zbliżania się terminu wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych kampania wewnątrz poszczególnych partii nabiera rumieńców. W łonie demokratów pozycja prezydenta Trumana została mocno zachwiana. W ostatnim swym przemówieniu gubernator stanu Alabama Folson oświadczył dosłownie: „W chwili obecnej 25 demokratów powinno się ubiegać o możliwości kandydowania. Conajmniej tylu przywódców demokratycznych posiada większe kwalifikacje do kierowania partią i państwem niż obecny prezydent".

W partii republikańskiej przybył nowy konkurent gen. Mac Arthur. Nie zraziło to innych kandydatów, w szczególności senatora Stassena, znanego ze swej wizyty w Moskwie i senatora Tafta, wroga klasy robotniczej Nr 1.

Henry Wallace, który występuje jako kandydat niezależny zdaje się dosyć ostrożnie przygotowywać grunt, aby przedwcześnie nie odkryć swoich argumentów i haseł. Wiadomo jednak, że wysunie żądanie upaństwowienia kolei i elektrowni, wprowadzenie kontroli energii atomowej i podniesienia zarobków robotniczych.

(P)

ROCZNICA ŚMIERCI Gen. ŚWIERCZEWSKIEGO



W dniu 28 marca br. cała Polska obchodziła pierwszą rocznicę śmierci gen. Świerczewskiego (Waltera) wsławionego w walkach o wolność demokratycznej Hiszpanii i w walkach o wyzwolenie Polski. Na zdjęciu gen. Świerczewski na froncie hiszpańskim.

Dobra posada

MR. Purcell L. Smith zarabia 65.000 dolarów rocznie. Otrzymuje tę poważną kwotę od Związku Właścicieli Elektrowni za to że odwiedza senatorów i posłów do kongresu amerykańskiego. Oczywiście odwiedziny te nie mają charakteru towarzyskiego, lecz czysto interesowny. Mr. Smith przekonywuje ich, aby udzielali lub odmawiali poparcia swym projektom ustaw. Mr. Smith nie jest jenym człowiekiem utrzymującym się z takiego zajęcia, ale jest najlepiej płatnym. Jego mocodawcy widocznie wierzą, że jego usługi warte są prawie tyle, ile praca prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ten ostatni zarabia bowiem tylko o 10.000 dolarów więcej niż Mr. Smith.

(P)

Miał powodzenie „syn Adolfa Hitlera"

POLICJA niemiecka aresztowała niejakiego Helmutha Riegge, który zbierał wszędzie składki... na pomoc dla syna Adolfa Hitlera. Sporządził on „fotomontaż", przedstawiający na tej samej kliszy Hitlera i Ewę Braun, trzymającą niemowlę w swych ramionach. Riegge dodawał, że po śmierci rodziców „następca tronu" był wychowany potajemnie na zamku w Saksonii i że trzeba dużo pieniędzy, by go oswobodzić. **Dzięki temu procederowi oszust zebrał 500.000 marek tj. około 10 milionów złotych.**

Najciekawsze, że ani jedna z osób wymieniona na liście „litościwych" dla rzekomego młodego Hitlera ofiarodawców **— nie była niepokojona przez policję.**

W. N.

Hiszpania

W czasie meczu piłki nożnej w Bilbao w obecności 30.000 widzów, nieznani działacze podziemia wywiesili flagę Katalonii i narodowe barwy Basków. Widzowie i gracze, dając wyraz swemu zadowoleniu, oklaskiwali ukazanie się sztandarów.

W odpowiedzi na to policja polityczna generała Franco aresztowała 8 byłych więźniów politycznych, którzy tego dnia nie opuścili swoich mieszkań.

(P)

Peryferje cywilizacji czyli Monsieur Verdoux

Paryż bardzo lubi sensacje. Kronika skandaliczna tego miasta żyje zgorszeniem, jak chlebem powszednim. I nie pozwoli go sobie odebrać.

Nic więc dziwnego, że dzisiejszą porcję tego chleba stanowi głośny film Charlie Chaplina — „Monsieur Verdoux". Widziałem ten film niedawno. Parodiuje on, albo — jak kto woli — odtwarza w wolnym przekładzie życie i ideały znanego francuskiego truciciela — pana Landru. Więc może nie potrzebuję omawiać zjawiska, które nim się stało filmem, było przedtem pożywką brukowców całego świata.

Jest przecie w filmie jedna scena w jakiś szczególny sposób apoteozująca pana Landru-Verdoux. Skazany na śmierć za swe liczne zbrodnie, spotyka się ze strony kapłana z propozycją pomocy duchowej. Pan Verdoux odpowiada z cynizmem mniej więcej tak:

— Z Bogiem byłem zawsze w zgodzie.

I daje do zrozumienia, że to tylko ludzie mają doń jakieś głupie pretensje.

Są jednak na ziemi i niebie rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło. Bo film ten w pewnych umysłach zrobił wspaniałą karierę. Oto powiedziano, że stanowi on przekrój burżuazyjnego świata, a więc jest społeczny, jest dobry, jest uczciwy, jest aktem oskarżenia.

P. Antoni Słonimski poświęcił mu wielki artykuł w „Odrodzeniu", gdzie pisze:

„Akt oskarżenia nie obejmuje tylko ustroju jednego kraju. Obraca się Chaplin przeciw możnym tego świata. I tu znów objawia swą tradycyjność i związek nieprzerwany z kulturą europejską".

Nie, nie ma w tym żadnej pomyłki. Napisano wyraźnie: z kulturą europejską! Nie trucicielską, lecz właśnie europejską.

No, pomyślmy. Wielkie słowa! Ale może film jest przez to społeczny, że demaskuje antyspołeczność swego bohatera?

Nic podobnego. To on sam pan Landru-Verdoux, złodziej i morderca, on sam jest tą wzniosłą postacią, której musimy wybudować kościół. P. Słonimski pisze przecie wyraźnie:

„Odchodzi na śmierć jak skazaniec z Goyi. Koszula więzienna ma zarys żabotu. Wypija tradycyjny kieliszek rumu, jak Sokrates cykutę".

Tu muszę stanowczo zaprotestować. Wprawdzie magister dixit, mistrz to powiedział, ale przecież — jak uczył Cycero — w badaniach nie na powagę imienia, ale na moc dowodów baczyć trzeba. I wydaje mi się, że porównanie rozpustnika i truciciela z filozofem, który zginął dobrowolnie niemal, służąc nauce i prawdzie, jest czymś, co wstrząsa naszym poczuciem moralnym najgłębiej, czymś, co nie może lecz musi być pozbawione wszelkiej odpowiedzialności.

Nie chciałbym rozdzierać szat, bo i ubrania są drogie i artykuł p. Słonimskiego przeszedł dość niepostrzeżenie. Nie mogę się jednak powstrzymać od przytoczenia końcowego wniosku tego artykułu, gdyż stanowi on pewnego rodzaju zagadkę psychologiczną:

„Pisze się teraz dużo w Polsce o społecznej roli sztuki. Film Chaplina jest tej sztuki przykładem, bo jest czynem w walce o poprawę świata, jest bitwą stoczoną w obronie człowieka. Trafia on do wyobraźni ludzkiej zaklęciem najwyższej sztuki. Jak Cassim z bajki arabskiej znajduje to słowo jedyne, które otwiera skaliste groty, porusza kamienną obojętność ludzką".

Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie — to znaczy, że poza tą piękną w formie wypowiedzią nie ukrywa się żadna uchwytna treść. Obrona człowieka? Poprawa świata? Stoczona bitwa? Frazesy, ale nie chciałbym, żeby ludzkość wygrywała **takie** bitwy.

I nie życzę p. Słonimskiemu, aby spotkał się kiedyś w życiu z Monsieur Verdoux, bo choć Monsieur Verdoux truje zazwyczaj tylko kobiety, ale, jak widzieliśmy na filmie, nie omija i mężczyzn, jeśli mu wpadną akurat pod rękę.

Lecz żart na stronę. P. Słonimski, który zazwyczaj walczył o słuszne sprawy — przeholował tutaj, myślę, że nie z powodu naiwności, ale z przyczyny pewnego snobizmu intelektualnego. W każdym razie trzeba mieć w sobie bardzo dużo dobrej woli, aby chcieć z nihilizmu budować wartości moralne. Nie jest to chyba najwłaściwszy materiał dla budowy cywilizacji.

Twierdzę, że nihilizm, jaki widzieliśmy w filmie Chaplina, nie może być tolerowany w żadnym ustroju społecznym. Znany krytyk radziecki, Kurganow, zauważył w piśmie „Litieraturnaja Gazeta" (Nr 2/2385), że „w człowieku radzieckim nie może wywołać żadnego współczucia człowiek typu Verdoux. To morderca! Sam Verdoux i cała jego filozofia usprawiedliwiania mordu wywołuje w ludziach radzieckich tylko wstręt". „Po Monsieur Verdoux — pisze krytyk — przyjaciele Chaplina mają prawo postawić mu zarzut, że zdradził małego człowieka".

No więc jakże jest z tym panem Verdoux? Sokrates — czy świnia?

Don Kichot

Quas

PRIMA APRILIS

To rzeczywiście można się świetnie ubawić!

A taki prosty sposób.

Mówisz tak, a jest inaczej. Albo odwrotnie. Powiesz inaczej, a jest właśnie tak, jak trzeba.

Tylko należałoby się jakoś umówić. Żeby tak ludzie więcej zgrani byli!

Bo czasem kawał jakoś nie wychodzi.

I potem pewien niesmak.

Lucio Wiśniewski był zazdrosny o żonę. Nie bez powodu nawet. Ale pewności nie miał żadnej. Akurat pierwszego kwietnia grał sobie w bilard spokojnie. Aż tu przychodzi Wacek... ten... no, Krajewski i mówi:

— Oho, Lucio sobie w bilard rżnie, a Tolek mu w domu żonkę bałamuci.

Więc Lucio zbladł i pyta:

— A ty skąd wiesz?

— Widziałem — powiada Wacek — jak wchodził do was.

A Wacio Krajewski w jednej sieni z Luciem mieszkał.

Lucio wyleciał z bilardu jak wariat i do domu pognał. A Wacio się śmieje do nas i powiada:

— Prima Aprilis! Wcale Tolka nie widziałem dziś.

Tymczasem Tolek rzeczywiście panią Wiśniewską bałamucił i Lucio mordę zbił mu na kwaśne jabłko. A potem Tolek Waciowi żebro złamał, bo się od pani Wiśniewskiej dowiedział, że to on ich przed mężem wsypał.

I tak piękny żart się nie udał z winy Lucia, który primaaprilisowy kawał wziął na serio i do domu zaraz poleciał.

A znów Henio Piotrowski zaprosił na jedną wódkę Kazia Drążka do baru. Ale Kazio żarł za czterech, więc Henio mówi:

— Słuchaj, ale ja mam tylko dwa złote.

A Kazio znał się na kawałach i powiada:

— A dziś Prima Aprilis?

— A tak, Prima Aprilis — przypomniał sobie Henio.

— To może być niedobrze, bo i ja nie mam pieniędzy — roześmiał się Kazio.

I tak się obaj śmieli i pili cały wieczór, aż przyszło do płacenia. Wtedy się okazało, że naprawdę tylko Henio miał dwa złote. A w komisariacie się pobili, bo mieli obaj pretensje o głupie żarty.

Wyszło podobnie, jak z tą panią, która rzuciła na stół swoje karty, gdy jej partner na czwartym ręku po trzech pasach zalicytował szlema bez atu, bo myślała, że to Prima Aprilis.



Tymczasem Tolek rzeczywiście panią Wiśniewską bałamucił i Lucio mordę mu zbił...

A partner miał naprawdę szlema i grę unieważniono, gdyż rzucone karty leżały twarzą do góry. Biedaka szlak trafił, a pani wpadła w melancholię.

Tak, tak! Prima Aprilis to świetna zabawa, tylko trzebaby jakoś się porozumieć.

Bo czasem taki dziwny efekt wychodzi.

Na ekranie stołecznym

„WIECZNA EWA"

Nie zawsze tylko dobry film ma zapewnione długotrwałe powodzenie, czego dowodem „Wieczna Ewa", którą trzeba zaliczyć raczej do filmów słabszych.

Wprawdzie początkowe sceny są doskonałe, pełne tempa i napięcia, ale sam scenariusz jest dość banalny, a wiele jest scen i sytuacyj w których istnienie w życiu codziennym trudno uwierzyć.

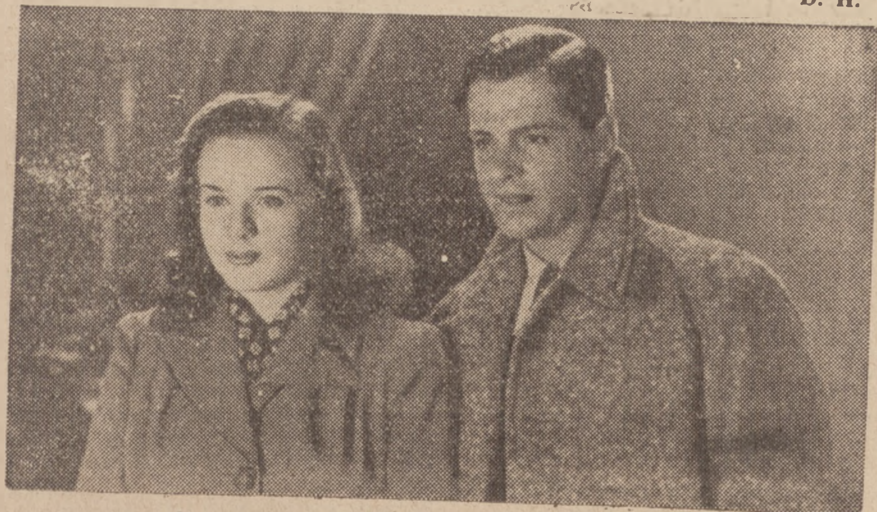
Cały film jednak to spora porcja doskonałego humoru, którego wszyscy jesteśmy spragnieni i między innymi plusami ten humor właśnie sprawia, że film ma ogromne powodzenie. Dowodem tego są niekończące się kolejki przed kinem oraz awantury i często stosowany boks przed kasą.

Jednym z najmocniejszych atutów „Wiecznej Ewy" jest gra Charlesa Laughtona jako staruszka milionera, który wbrew oczekiwaniom wielu zainteresowanych — nie chce umierać, wprowadzając swoim nieoczekiwanym ozdrowieniem wiele komplikacji w swoim najbliższym otoczeniu.

Drugim atutem jest jak zawsze urocza Deanna Durbin, która śpiewa ślicznie jak dawniej, szkoda tylko, że tak mało. Przy okazji mamy możność napatrzeć się do syta wspaniałym, z przepychem urządzonym wnętrzom, które często wywołują westchnienie zazdrości.

Na filmie tym przez dwie godziny zapominamy o swoich codziennych troskach, bawiąc się doskonale, na wet wzruszając trochę. Dlatego nie zwracamy uwagi na te słabsze strony. Film ma zapewnione długotrwałe powodzenie. Jak słyszałem, wiele osób z zadowoleniem ogląda go kilkakrotnie.

D. H.



EZOP, BAJARZ GRECKI

Wiele uroku mają opowieści o dawnych czasach, ludziach i zdarzeniach.

Legendy i baśnie nie tylko bawią, ale i uczą zrozumieć, odtworzyć duszę danego narodu.

U antycznych greków świat wyobraźni był niezwykle bogaty.

Podziwiamy ich pogodną wiarę, ich bogów, przeróżne stwory, zamieszkujące lasy i gaje, góry i doliny, przezrocza wód. Wszędzie wre bujne życie. Siłą wyobraźni potrafili Grecy wpleść w codzienną walkę o byt, w realne bytowanie, cudowną baśń i żaden inny kraj nie udzielił tak szczodrze tego swego bogactwa uczuć i myśli, żaden nie dał tyle wzorów do naśladowania. Podziwiamy ich filozofów, artystów, bliski nam kult dla umarłych, łączący przeszłość z teraźniejszością i przyszłością. Cudownie było w Grecji, nic też dziwnego, że mieszkańcy pragnęli przedłużyć swe życie do nieskończoności. Według nich śmierć jest tylko przeobrażeniem. Zmarli, zarówno krewni i przyjaciele, jak i wrogowie, otaczają wciąż jeszcze pozostałych na ziemi.

Praktyczni Grecy starają się ująć bogów i dusze zmarłych darami, wierząc, że mogą przyczynić się do powodzenia, szczęścia lub niedoli.

Ciągłość istnienia budzi poczucie odpowiedzialności, stąd szukanie rady w ważnych wydarzeniach, wiara w sny i wróżby. Wróżbiarstwem zajmowali się kapłani, filozofowie, a nierzadko ludzie prości, obdarzeni rozumem i przenikliwością, jak np. Ezop, sławny bajarz grecki.

Ezop był niewolnikiem. Kupiony przez bogatego filozofa Ksantosa, na pytanie tego ostatniego: „Co mi z ciebie przyjdzie, czym będziesz?" — odpowiada, uśmiechając się złośliwie: „strachem na wróble".

Rzeczywiście pięknym nie jest. Ułomny, plecy wygięte, szyja krótka, twarz pokryta zmarszczkami, oczy małe, nieco skośne. Już sam widok biedaka budzi śmiech. Ale i on wygląda tak, jakgdyby śmiał się z ludzi, jak gdyby od nich był o wiele mądrzejszy. Zaczyna opowiadać. Miło go słuchać. Można się zabawić, można niejednego nauczyć. W jego skośnych oczach czai się nie tylko śmiech. Jest tam wiele dobroci i zrozumienia, patrzy, porównywa, myśli, a potym wyciąga wnioski proste, logiczne, jak prostym i doskonale logicznym jest jego umysł.

Mówi o zwierzętach i ptakach, a każdy może odszukać tam siebie lub kogoś znajomego — wszystkie śmieszności otoczenia. Nie gniewają się o to, słuchają chętniej niż innych.

Już i Ksantos wierzy w jego rozum i odsyła do biednego niewolnika przychodzących o pomoc i radę. Biegną tygodnie, miesiące, może lata, z niewolnika, zależnego od swego pana, stał się Ezop wolnym obywatelem państwa. Cenią go za prawość charakteru, za rozum. Sława jego pięknych bajek sięga już daleko. Znają je w całej Grecji, zbierają skrzętnie, zapisują, by zachować dla potomności. Wszystkie są mądre, niektóre niezwykle piękne.

Na przykład ta — zawierająca mało słów, a tak wiele treści: „Rolnik zbierał szarańczę, która niszczyła jego pola. Rozpalił ogień „i jął wrzucać szkodliwe owady. Ale między szarańczą znalazł się konik polny i prosi: „Ulituj się, dobry człowiecze, ja nie niszczę twych plonów, żyję jeno rosą niebieską i rozweselam pieśnią przechodniów"...

Ezop myślał o sobie, mówiąc bajkę, a mówił wobec króla Lidii Krezusa, zagniewanego na bajarza, gdyż on, nie kto inny, odradził ludowi Samosu zgodę na płacenie mu stałej daniny.

Bajka zrobiła wrażenie, a może widok starego, ułomnego człowieka wzbudził w słuchaczu współczucie. Ezop był uratowany.

Doskonałe jest opowiadanie o wilkach, owcach i psach owczarkach. Opowiadanie, związane też z osobistymi przeżyciami Ezopa. „Wilki i owce prowadziły ze sobą wojnę. Owce, jako słabsze, wiele ucierpiały i byłyby zginęły, gdyby nie pomoc psów owczarków, mężnych i przebiegłych. Wówczas wilki, widząc, że przy obronie tych mądrych stworzeń nie dadzą sobie rady, zgodziły się na zaprzestanie wojny, pod warunkiem, że wydadzą im owczarki. Głupie owce zgodziły się, wilki rozszarpały zaraz ich obrońców, a potym i owce z kolei".

Bajka o orle, zającu i małym żuczku jest ostatnia, jaką Ezop przed swą tragiczną śmiercią opowiedział.

Oskarżony niesłusznie przez członków najwyższej rady w Delfach, zostaje tam skazany i zwyczajem dawnych Greków, ze skalnych zrębów w przepaść strącony.

Podanie mówi, że oburzeni bogowie zesłali na kraj posuchę, a Apollo podniósł szczątki wielkiego człowieka i na nowo ożywił.

W każdym razie żyje on w pamięci po dziś dzień i swoimi bajkami dawał i dawać długo jeszcze będzie wzory.

Antonina Malewska

ŚWIATOWA SENSACJA
pod mostem Poniatowskiego

Przechodząc przez most Poniatowskiego w dniu 1 kwietnia o godz. 15 współpracownik „Tygodnia" usłyszał przy trzecim filarze (od strony Pragi) uwodzicielsko - pieszczotliwe wołanie kobiece (głos wychodził z fali wiślanej): „K o t u c h n a!... K o t u c h n a — a — a!...".



Rys. Julian Żebrowski

Skąd mnie znasz, Helenko, i jak ci na imię?...

Ponieważ nasz kolega ma takie właśnie „nom de guerre", więc zatrzymał się jak wryty, z lekka tylko chwiejąc się na zemocjonowanych nogach, w stuprocentowym przeświadczeniu, że w Wiśle prawdopodobnie odbiera sobie życie „z nieutulonej miłości" jedna z licznych jego wielbicielek. Zaintrygowany, jak wygląda takie samobójstwo i która z jego „flam" właściwie się topi, redaktor Kotuchna przechylił się przez barierę mostu i w wodzie tuż przy filarze mrugającym pośpiesznie ze zdumienia jego oczom ukazały się — wdzięczna twarzyczka i... rybi ogon — żywej, prawdziwej, autentycznej... syreny! Syrenka była zaiste olśniewająco piękna!

Jako rasowy reporter, nie rozstający się nigdy ze swą Leiką (chyba, że aparat bywa czasami w zastawie w jednym z licznych zaprzyjaźnionych barów) — Kotuchna błyskawicznie wycelował na syrenkę obiektyw i pstryknął migawką, robiąc zdjęcie, które widzimy na ostatniej stronie niniejszego „Tygodnia" i które w fotoreportażu przyniesie mu niewątpliwie zasłużoną światową sławę.

Po automatycznym przekręceniu rolki filmowej nasz szczęściarz natychmiast wdał się ze słodkim rybodziewczęciem w interesującą pogawędkę, ucinając tak zwany fachowo „maleńki wywiadzik":

— Czy należysz do Centrali Rybnej, czy do Związku Pływackiego?... Czy masz ogon taki sam jak dorsz — polska ryba?... A poza tym skąd mnie znasz, Helenko, i jak ci na imię?... — płynęły interpelacje dziennikarza.

— „Któżby nie znał Kotuchny w Warszawie?!..." — odśpiewała mu w odpowiedzi matowym altem piękna czarodziejka.

— I powiedz, mój śliczny, prezydentowi Tołwińskiemu i innym głowom miasta, żeby dali już nareszcie spokój z tymi ciągłymi zmianami nazw ulicznych w mojej Warszawie. I tak nie starcza im przecież tabliczek, by nawet zachowane nazwy poznaczać na narożnikach. Powiedz im, Kotusiu, że jako symboliczna warszawianka wolę „Kruczą" czy „Złotą" od choćby nawet „Najweselszych Bułgarów"...

— A poza tym, zimno mi, Kotulku, tu w wodzie... marznę... brrr... jak zimno! Kup mi, kochany, i przynieś pomadkę „Leda' w wodoszczelnej oprawce — bo mi usta zsiniały... i srebrnego lis-sa... — wydzwoniła bieluśkimi ząbkami zziębnięta syrenka.

— Przyniosę ci, Helenko, wszystko — czego tylko chcesz. I lisa, i pomadkę, sweter, nurkową etolę i c i e p ł e w e ł n i a n e p o ń c z o c h y...

×

Umówili się spotkać za tydzień w tym samym miejscu i o tej samej godzinie, gdyż Kotuchna stwierdził, że na zakupy musi mieć tzw. forsę, a „Tydzień" w tym tygodniu ma mu ją w większej zaliczce wypłacić.

Czy Kotuchna przyrzeczenia dotrzyma, dowiemy się więc 8 kwietnia o godz. 15 na moście Poniatowskiego przy trzecim filarze od strony Pragi.

HENT.

DOBRE WYNIKI RZETELNEJ PRACY

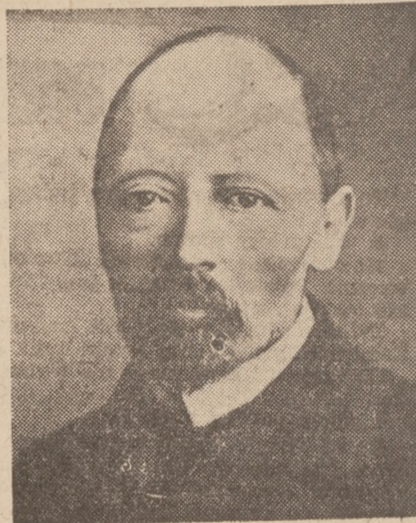
Okręgowe Spółdzielcze Stowarzyszenie Spożywców „Pomoc Bratnia" w Sandomierzu, ul. Panny Marii 5, należy do najstarszych spółdzielni w Polsce, powstało bowiem jeszcze w 1907 roku.

Obecnie, zrzesza 3.781 członków i posiada 30 sklepów spożywczych i branżowych, których siecią obejmuje wszystkie dzielnice miasta. Prowadzi ponadto 5 placówek wytwórczych, a mianowicie: 2 piekarnie częściowo zmechanizowane, masarnię, wytwórnię wód gazowych i cegielnię.

O żywotności gospodarczo - handlowej Okręgowego Spółdzielczego Stowarzyszenia Spożywców „Pomoc Bratnia" w Sandomierzu świadczą wymownie obroty tej placówki, które w 1947 roku osiągnęły kwotę 226 milionów złotych. Czysta nadwyżka w tym samym roku dała 2.500.000 zł.

(K)

Romuald Mielczarski
w 22-gą rocznicę śmierci



Dnia 30-go marca 1926 roku umarł niespodziewanie i przedwcześnie, w wirze wytężonej pracy — nieomal przy biurku — Romuald Mielczarski, jeden z wielkich twórców polskiego ruchu spółdzielczego.

Z nazwiskiem jego łączy się nie tylko obraz człowieka niezmordowanej pracy, posiadającego wybitny zmysł organizacyjny i żelazną wolę doprowadzenia do końca podjętej roboty, ale także jedna z piękniejszych kart polskiej kooperacji.

Syn wiejskiego listonosza z Piotrkowa, od zarania lat swoich stykał się z niedostatkiem. Wiedziony niezmożoną chęcią wiedzy, przebija się o własnych siłach przez szkołę powszechną w Radomsku i Częstochowie. Dostaje się do upragnionego gimnazjum w Warszawie, zrazu żyje w najcięższych warunkach finansowych. Wkrótce wyrabia sobie imię doskonałego korepetytora, co mu umożliwia doprowadzenie nauki gimnazjalnej niemal do końca.

Niemal — bo na parę tygodni przed maturą zostaje aresztowany za rozdawanie ulotek konspiracyjnych. Po rocznym pobycie w więzieniu musi opuścić kraj. Wieloletnie wygnanie zaczyna od uczęszczania na akademię handlową w Antwerpii. Tę najwyższą z uczelni gospodarczych w Europie — obok Akademii Eksportowej w Wiedniu — ukończył chlubnie, poczem pracował przez cztery lata w charakterze bibliotekarza zbiorów Rapperswylskich w Szwajcarii po Stefanie Żeromskim, z którym zapoznał się jeszcze za czasów warszawskich. Ze znajomości tej zrodziła się nazwa „Społem", której autorem jest właśnie Żeromski.

Przy próbie powrotu do kraju Mielczarski dostaje się znowu do więzienia, a po wyjściu z niego przebywa kilka lat w głębi Rosji. Drogę do kraju otwiera mu dopiero rewolucja 1905 roku. Hołdując przemyślanej i przetrawionej idei spółdzielczości, od razu rozpoczyna ożywioną działalność w Towarzystwie Kooperatystów. Tworzy z niego wraz ze Stanisławem Wojciechowskim i prof. Abramowskim szaniec polskiej myśli spółdzielczej.

Uznawszy raz spółdzielczość za najprostszą drogę do dobrobytu społeczeństwa, do końca życia nie ustąpił z wytkniętej drogi. Opierając się na tygodniku „Społem", redagowanym przez Stanisława Wojciechowskiego, przygotowuje teren do utworzenia Związku Stowarzyszeń Spożywczych. Po pięciu latach wytężonej pracy organizacyjnej doprowadza we wrześniu 1911 r. do powstania Hurtowni Spółdzielczej w Warszawie, która się stała komórką zalążkową Związku Gospodarczego Spółdzielni „Społem".

Na tej placówce pozostaje do zgonu.

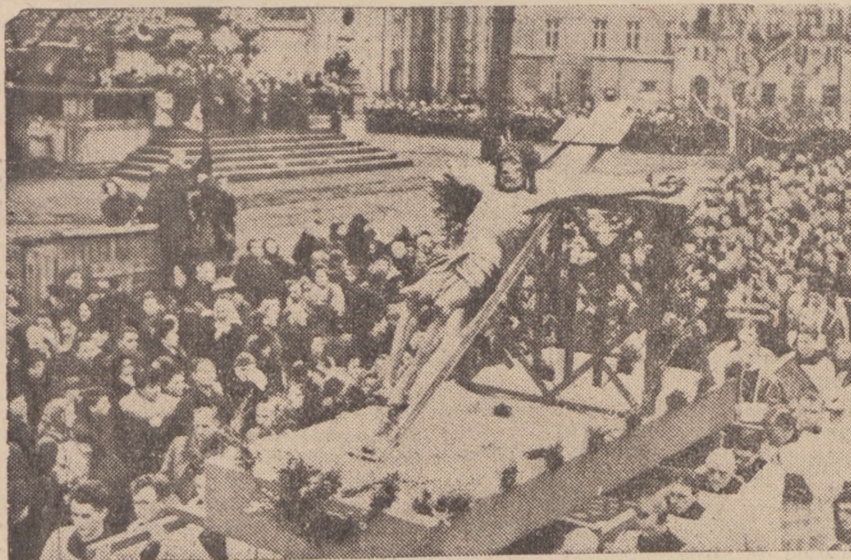
Pozostało po nim wiele pism.

Pełne są one wskazówek praktycznych z jednej, a głębokich myśli z drugiej strony. Przede wszystkim jednak interesuje go strona gospodarsza. On też, wprowadzając w czyn teoretyczne wywody Abramowskiego, założył podwaliny finansowe „Społem".

Dziś, kiedy patrzymy na drogi rozwojowe spółdzielczości polskiej, jesteśmy w stanie ocenić w całej pełni wielkość konstruktywnego i przewidującego umysłu Romualda Mielczarskiego.

(ez)

Film TYGODNIA



W Niedzielę Palmową w Warszawie odbyła się uroczystość przeniesienia cudownej figury Pana Jezusa z kościoła Karmelitów do kaplicy Baryczków w odbudowującej się Katedrze



Dnia 22 marca odbył się w Romie wielki wiec informacyjny „Służba Polsce“ Salę wypełniła szczelnie młodzież szkolna, pracująca i zorganizowana



Delegacja fińska udała się do Moskwy na pertraktacje w sprawie propozycji radzieckiej zawarcia traktatu przyjaźni i wzajemnej pomocy pomiędzy Związkiem Radzieckim i Finlandią (SAP)



Maurice Marechall koncertował w Filharmonii Warszawskiej w dniu 19 marca br.



Maria Gorczyńska w roli Elżbiety w sztuce „Rozdroże Miłości“ J. Zawieyskiego

100 WIERSZY O SPORCIE

TRENER naszych lekkoatletów w Olsztynie, wypowiedział na łamach prasy swe credo w stosunku do prasy. Trener ów oświadczył, że ośrodek ma zadania również i wychowawcze, a więc wychowawcy jego chcą uniknąć „nagradzania wyników w formie pochlebnych słów prasy“, bo może to „pomóc lub zaszkodzić młodym zawodnikom“.

Zapytany, na jakie wyniki liczy w tym sezonie, trener powiedział m. in., że „Kielas i Boniecki mogą dojść do klasy Kusocińskiego“. Przypomina to powiedzenie o żołnierzu i buławie marszałkowskiej w tornistrze, ale nie chyba na tym polegają zadania wychowawcze ośrodka, aby trener aż do tego stopnia pochlebiał swym pupilkom. Zgódźmy się, że to duża przesada.

SPRAWA na pozór drobna: w rozgrywkach o wejście do ligi koszykowej Cracovia przegrywa i po meczu wnosi protest przeciw wynikowi, motywując tym, że w czasie dogrywki nie było zmiany boisk. Dziwić się należy przyjęciu tego protestu, natomiast wywołuje zdumienie wniesienie protestu przez klub dopiero po porażce. Czy Cracovia nie „zauważyła“ przed dogrywką, że gra na tym samym boisku.

ZESPÓŁ bokserski warszawskiego Grochowa bawił w Toruniu. Po meczu z miejscowym Gryfem organizatorzy wypłacili gościom tylko połowę sumy umownej jako zwrot kosztów, motywując tym, że Grochów przyjechał do Torunia bez Kolczyńskiego. Dla naszego „Kolki“ opinia Torunia, oceniająca go na połowę wartości jego drużyny jest bardzo miła. Nie mniej jednak Grochów odmówił przyjęcia połowy sumy umownej. Sala na meczu była pełna, a jeśli zwabił publiczność Kolczyński, który w rezultacie zawiódł, widzowie powinni żądać od organizatorów zwrotu... połowy ceny biletu. W ten sposób rozumowali widocznie organizatorzy, „wytrącając“ za „Kolkę“ połowę umownej sumy.

POMIĘDZY magistraturą piłkarską i „Lotem“ toczą się rozmowy na temat przewozu samolotami naszych zespołów piłkarskich na mecze ligowe. Pomysł doskonały, bo w ten sposób piłkarze nasi zaoszczędziliby wiele czasu, który tracą przy przejazdach koleją. Mankamentem tego projektu jest powrót do domu koleją. Pociągi pośpieszne odchodzą zwykle dopiero przed północą. po meczu więc pozostaje jeszcze wiele czasu do pociągu. Czas ten trzeba jakoś wypełnić, a w obcym mieście nie brak pokus... Co innego, gdyby zaraz po meczu trzeba było jechać na lotnisko.

ŻYWOTNY sport pięściarski przeżywa nową sensację. Po historycznej sprawie Warta — Grochów, w której pamiętną rolę odegrał PZB, mamy obecnie sprawę kapitana sportowego związku, który podał się do dymisji, broniąc słusznego stanowiska dopuszczenia do mistrzostw Polski niektórych zawodników, nieobecnych na mistrzostwach okręgowych. Okręg warszawski domaga się zwołania plenum zarządu PZB w celu zajęcia stanowiska w sprawie rezygnacji kapitana sportowego. Warszawa ma poparcie innych okręgów, a co najważniejsze, samego okręgu poznańskiego, który dotychczas uzależniał swą „politykę“ od PZB.

Z. W.

Kalendarzyk historyczny

1 Kwiecień

1548 zm. król Zygmunt I
1631 ukazanie się we Francji pierwszego dziennika „La Gazette“
1750 ur. się Hugo Kołłątaj
1843 koncert Franciszka Liszta w Warszawie
1848 zakończenie budowy dworca w Warszawie kolei Warszawsko-Wileńskiej
1918 zm. poeta Lucjan Rydel
1925 otwarcie Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie

2 Kwiecień

1640 zm. Maciej Sarbiewski
1783 ur. się Franciszek Morawski — poeta
1801 zwycięstwo Napoleona nad Duńczykami pod Kopenhagą
1805 ur. się bajkopisarz Hans Andersen
1817 Tadeusz Kościuszko zniósł pańszczyznę w swej wsi Siechnowicze
1840 ur. się Emil Zola
1873 ur. się Rachmaninow
1917 przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny przeciwko Niemcom
1921 otwarcie Targów Poznańskich
1921 uchwalenie Ustawy o orderach: „Orzeł Biały“ i „Polonia Restituta“

3 Kwiecień

1025 zm. król Bolesław Chrobry
1682 zm. malarz hiszpański Bartolome Murillo
1838 ur. się Leon Gambetta
1849 zm. Juliusz Słowacki
1851 ur. się poeta Bolesław Czerwieński. autor „Czerwonego Sztandaru“
1879 zm. kompozytor Brahms
1905 zm. malarz belgijski Constantin Meunier

4 Kwiecień

1784 ur. się archeolog słowacki Adam Czarnocki
1794 bitwa pod Racławicami
1841 ur. się Anatol Lewicki
1945 zdobycie Bratysławy i Baden

5 Kwiecień

1194 zm. król Kazimierz Sprawiedliwy
1521 pokój w Toruniu z Krzyżakami
1573 otwarcie pierwszego mostu na Wiśle
1827 zm. fizyk Aleksander Volta
1874 premiera w Wiedniu operetki Jana Straussa „Zemsta Nietoperza“
1935 zmarł kompozytor Emil Młynarski
1941 pakt przyjaźni Z.S.R.R. i Jugosławii
1945 Fierlinger wybrany premierem Czechosłowacji

6 Kwiecień

1364 założenie kamienia węgielnego pod budowę Akademii Krakowskiej
1528 zm. malarz Dürer
1551 zm. Barbara Radziwiłłówna
1573 pierwszy sejm elekcyjny w Polsce
1670 ur. się Jan Jakób Rousseau
1832 rozwiązanie Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie
1851 urodził się historyk Władysław Smoleński
1848 defilada „Zastępu Polskiego“ w Rzymie na czele z Adamem Mickiewiczem
1870 ur. się kompozytor Oskar Strauss
1911 zm. malarz Józef Chełmoński
1941 napad Niemiec na Jugosławię i Grecję

7 Kwiecień

1787 zm. poeta Kajetan Węgierski w Marsylii
1814 abdykacja Napoleona I
1884 zm. Antoni Bronikowski

8 Kwiecień

560 (przed Chrystusem) ur. się Budda
1807 ur. się Karol Libelt
1848 zm. kompozytor włoski Gaetano Donizetti
1858 ur. się malarz Jan Styka
1860 ur. się Józef Weyssenhoff
1861 krwawe rozruchy w Warszawie
1868 ur. się Wilhelm Feldman
1909 zm. Helena Modrzejewska-Chłapowska, wybitna aktorka
1934 zm. artysta malarz Władysław Skoczylas
1942 pierwszy nalot japoński na Indie Brytyjskie
1945 Kapitulacja Królewca

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Kroki Rozwodowe

4.

(Ciąg dalszy)

Jaś bardzo zaniepokojony wyskubywał nerwowo nitki z żółtej serwety na stole. Był przygotowany na wymówki, wyzwiska, na awanturę. Ale nie spodziewał się sceny zazdrości. Czyż by go Jadźka jeszcze kochała?... Rozumiał, że to mogło skomplikować sprawę i postanowił spróbować bardziej subtelnej argumentacji. — Widzisz — powiedział — jeśli chodzi o wspomnienia, to lepiej do nich nie wracać. Połóżmy na przeszłość krzyżyk i uwolnijmy się od wspomnień, zgoda? Ja sam kiedyś doświadczyłem tego na sobie. Było to w czasach mej młodości. Kochałem się wtedy nieszczęśliwie. A ponieważ sprawa była beznadziejna, więc, starałem się zapomnieć o mojej ukochanej. Poprostu, zmusiłem się do tego, żeby o niej nie myśleć nic więcej.

I tak mi jakoś przeszło, słowo daję! Radzę ci zrobić to samo. Wspomnienia są trucizną. Jesteś jeszcze młoda, przystojna i z pewnością znajdziesz godnego ciebie mężczyznę. Oczywiście to przykre, że jesteś teraz osamotniona, ale...

Tęgi cios, jaki wylądował na jego policzku, ogłuszył go jak wystrzał pod samym nosem. Jednocześnie wydało mu się, że posłyszał klaśnięcie i daleki, tubalny, ale jakby przytłumiony głos: — Idioto, przestań, schowaj swoje rady dla siebie!

Potem zaczął słyszeć wyraźniej: — Ty myślisz, że ja przez te trzy lata, cośmy żyli razem, to się do ciebie nie przyzwyczaiłam?... Kobieta jest zawsze głupsza od mężczyzny i przylepia się jak ta mucha do lepu.

Oburzona niewiasta zatoczyła rozcapirzoną, wzniesioną rękę koło jakby odwołując się do opinii całego świata: — A ten mądrala każe mi zapomnieć i odzwyczajać się!... Teraz, kiedy mi złamał życie? A idźże!...

Jasiowi zrobiło się żal pierwszej żony. Ale cóż mógł na to poradzić, skoro czuł się już tutaj tylko gościem zniecierpliwionym gościem, któremu pilno do Irenki, do drogerii, do raju.

Naraz poczuł pod nosem zaciśniętą tłustą pięść żony: — Ładniejszej ci się zachciało? Młodszej? Już ja ci dam młodszą!

Obrażony wstał.

— Jeśli mnie tak będziesz traktowała, to sobie pójdę — rzekł z godnością i ruszył ku drzwiom.

— Zostań! — usłyszał gromki i władczy głos za plecami.

— Dobrze. Zostanę — zgodził się z męczeńskim westchnieniem. — Ale pod warunkiem, że będziemy rozmawiali rzeczowo, bez osobistych wycieczek.

W wyniku rzeczowej rozmowy Jaś jeszcze raz dostał po buzi w chwili, gdy przyszło do ustalenia wysokości odszkodowania. — Flądra jedna, jeżeli chce mieć chłopa, to niech płaci!... A ty...

Po czym rozżalona kondydatka na rozwódkę wymierzyła mężowi drugi siarczysty policzek

— Nie, tak nie możemy rozmawiać — poskarżył się Jaś rozcierając spuchnięty policzek. — Ja sobie pójdę.

— Zostań!

Wreszcie po długich targach stanęło na tym, że pierwsza żona zgadza się na rozwód za odszkodowaniem w wysokości pięćdziesięciu tysięcy złotych, które mają być na razie złożone u rejenta do depozytu i wydane Jadwidze z Kłopotowskich Niebudkowej po wyroku rozwodowym.

Natomiast energiczna posiadaczka parasolki upierała się przy tym, że wyznaczona na 23 czerwca druga sesja pojednawcza w sądzie musi być odroczona.

Jaś nie mógł tego zrozumieć! — Dlaczego ci na tym zależy?

— Zależy mi — odpowiedziała uparta niewiasta uśmiechając się zagadkowo. — Zależy mi i już!

— Ale dlaczego? — dopytywał się Jaś.

Wtedy, zniecierpliwiona, wybuchła: — Tak ci pilno do ślubu z tą flądrą?

Jaś sądził, że może być dumny z tego co osiągnął: Uzyskał zgodę na rozwód i obniżkę wygórowanych pretensyj do sumy pięćdziesięciu tysięcy złotych. Dlatego, nie chcąc zaogniać sytuacji, zgodził się w końcu na odroczenie sprawy.

Tymczasem pani mecenas Janina Menkes nie chciała się na to zgodzić. — To niemożliwe! — skrzeczała do telefonu w rozmowie z właścicielką drogerii. — Nie będziemy odraczać sprawy do nieskończoności. Układ o wypłacenie odszkodowania można zawrzeć nie tylko przed rejentem, lecz i przed sądem do protokółu, że pan Niebudek zobowiązuje się wypłacić 50.000 zł i to będzie zupełnie wystarczające.

Przyczyny, które kierowały postępowaniem pani mecenas Menkes były dość złożone. Po pierwsze, moi drodzy, sprawa wymykała się jej z rąk, klient pogodził się za jej plecami z pierwszą żoną a to jest zawsze nieprzyjemne dla adwokata. Bo niby, powstaje wtedy pytanie, po cóż w ogóle brało się adwokata, skoro można było i bez jego pomocy, za wzajemną zgodą uzyskać rozwód? Po wtóre pani mecenas Menkes musiała się teraz czymś wykazać wobec właścicielki drogerii, dowieść, że nie darmo wzięła słone honorarium za prowadzenie sprawy. A czym innym mogła się teraz wykazać, proszę ja was, jak nie szybkim zakończeniem procesu?... Po trzecie,, pani mecenas nie mogła pozwolić, żeby jej przeciwnik, adwokat Orski, który ignorował ją jako kobietę, żeby Orski teraz triumfował i odroczył do 23 czerwca sprawę.

Takie stanowisko pani mecenas Janiny Menkes wywołało serię nerwowych połączeń telefonicznych: 1) Jasia z adwokatem Orskim, 2) Jadwigi Kłopotowskiej z drogerią, 3) Jasia z adwokatką Menkes,4) Jadwigi Kłopotowskiej z mecenasem Orskim, 5) koleżanki Menkes z kolegą Orskim.

Z tych pięciu rozmów telefonicznych najważniejsze były dwie ostatnie.

— Czy pan słyszał, mecenasie, co oni tam znów kręcą?... Nie, ja się umówiłam z tym idiotą, że on wpłaci pieniądze do rejenta, a sprawa zostanie odroczona... Zależy mi i już!... Niech im się tak nie spieszy! Niech im się nie zdaje, że tak prędko staną na ślubnym kobiercu... Pan nie będzie mnie uczył... Ja nie chcę przed sądem, ja chcę przed rejentem!... Przyniosę panu znów świadectwo lekarskie... No, niechby nie odroczyli, to ja rozniosę ten cały sąd, rozumie pan!... Pan musi odroczyć, od tego pan jest adwokatem. Co może się nie udać?... Niech pan tak nie mówi, bo pomyślę, że mój mąż pana przekupił...

Na tym rozmowa się skończyła, przerwana energicznym odłożeniem słuchawki przez obrażonego adwokata.

W pół godziny potem adwokat Orski rozmawiał z koleżanką Menkes: — Ja już mam tej sprawy po uszy, koleżanko! Ja wpadnę w chorobę nerwową... Nie, moja klientka na to się nie zgadza... Co, że nie odroczy?... No to się jeszcze okaże... Moja klientka jest chora, przedstawię świadectwo lekarskie... Tak, a ja zaskarżę koleżankę do Rady Adwokackiej za obrazę...

Mecenas, podenerwowany, znów rzucił słuchawkę.

A dwudziestego trzeciego czerwca przed miedzianowłosą kobietą za stołem sędziowskim stawiły się trzy podniecone osoby: adwokat Orski, adwokatka Menkes i jej klient Jaś Niebudek.

— Co? — zapytała sędzia. — Pozwana znów się nie stawiła?

Adwokat Orski podszedł w ukłonach do stołu i wręczył świadectwo lekarskie. — Pozwana — wyjaśnił — na skutek ciężkich przejść natury moralnej w związku ze sprawą rozwodową uległa atakowi wątrobianemu. Strony — mówił — są bliskie pogodzenia się i niewątpliwie wkrótce się pojednają, to znaczy wyrażą zgodę na rozwód. Trzeba im tylko zostawić na to trochę czasu. Z tych względów prosił o odroczenie sprawy —i wyznaczenie nowej, ostatniej już sesji pojednawczej.

— Znamy się na tym — zaczęła skrzypieć w odpowiedzi furtka. Dowodziła, że pozwana szykanuje powoda i specjalnie przewleka sprawę. Jej nieobecność należy sobie tłumaczyć jako odmowę udzielenia rozwodu. Ale w takim razie sąd, już w składzie trzech sędziów, zawyrokuje, czy orzec rozwód czy nie! Z tych względów prosiła o uznanie, że próba pojednania nie dała wyników, i przekazanie sprawy kompletowi, zło żonemu z trzech sędziów do definitywnego osadzenia.



Rys. Kazimierz Mann

Tak ci pilno do ślubu z tą flądrą

Miedzianowłosa kobieta sędzia miała do wyboru dwie równie słuszne decyzje. Bowiem tak w jednym, jak w drugim wypadku decyzja nie przesądzała sprawy, gdyż strony pro cesujące się miały jeszcze czas do uregulowania swych małżeńskich spraw majątkowych na wypadek roz wodu do terminu, na który zostanie wyznaczona bądź sesja pojednawcza bądź sesja merytoryczna z udziałem trzech sędziów.

Ale obrończynią powoda Niebudka była kobieta, zaś obrońcą pozwanej Kłopotowskiej elegancki mężczyzna, który zachowywał się nonszalancko i nie zwracał dostatecznej uwagi na kobiete za stołem sędziowskim jako na kobietę. Mając tedy do wyboru dwie równie słuszne decyzje, kobieta sędzia,, kierując się podświadomie przytoczonymi wyżej względami, wybrała decyzję po myśli kobiety adwokata i postanowiła przekazać sprawę na komplet złożony z trzech sędziów.

Nie myślcie, moi drodzy, że posądzam miedzianowłosą kobietę - sędziego o stronniczość! Bynajmniej!... Podkreśliłem wszak, że miała do wyboru dwie równie słuszne decyzje. Natomiast starałem się tylko dać wam do zrozumienia, że znajdujemy się w kręgu ludzkiej czyli niedoskonałej sprawiedliwości, i starałem się wam odsłonić nie dość precyzyjny mechanizm wagi, którą dzierży w ręku bogini z zasłoniętymi chusteczką oczami.

Po zapadnięciu decyzji o przekazaniu sprawy na sesję w składzie trzech sędziów pani mecenas Janina Menkes spostrzegła widocznie, że jednak przeciągnęła strunę. Bo co to będzie, jeśli sąd odmówi rozwiązania małżeństwa?!! Ano, kompromitacja pani Menkes!

Lekkomyślna odwokatka zaczęła więc namawiać swego klienta, żeby czym prędzej skłonił pierwszą żonę do przyjęcia pięćdziesięciu tysięcy i wyrażenia wobec rejenta zgody na rozwód.

Jaś posłuchał rady. Jego pierwsza żona potrzebowała pieniędzy, chciała bowiem wyjechać na urlop do Sopot. Akt notarialny doszedł więc do skutku i na 15 lipca została wyznaczona w wielkiej sali wobec trzech sędziów sprawa rozwodowa Jana Niebudka przeciwko Jadwidze Niebudkowej.

Na sprawę stawiła się również pani Irena Dembusowa. Niestety, woźny nie pozwolił jej wejść do sali, bowiem tego rodzaju sprawy toczą się przy drzwiach zamkniętych. Pani Irena spacerowała więc po korytarzu wypatrując się z niepokojem w wysokie dwuskrzydłowe drzwi, za którymi zniknęli główni aktorzy dramatu rozwodowego, to znaczy małżonkowie Niebudek z adwokatką Janiną Menkes i adwokatem Michałem Orskim.

Sentymentalne serce samotnej kobiety biło przyśpieszonym rytmem. Bowiem oto za wysokimi drzwiami ważył się jej los, tam miała zapaść decyzja, czy Jaś będzie mógł trzymać swą Irenkę aż do grobowej deski za rączkę.

Nigdy jeszcze chyba żadne serce kobiece nie odczuwało tak boleśnie ciężaru wieczności zawartego w każdej minucie.

Ale wreszcie jedno skrzydło drzwi uchyliło się wypuszczając kobietę z podniesionym dumnie czołem i parasolką w ręku. Za nią ukazała się uśmiechnięta pani mecenas. Trzeci wyszedł Jaś o wyrazie twarzy skupionym, a raczej, można by powiedzieć, uduchowionym od szczęścia, które — jak się domyślała Irenka — wypełniało mu pierś. Adwokat Orski wyszedł ostatni i szybko się oddalił, jakby w obawie przed parasolką swej wojowniczej klientki.

Natomiast pani mecenas Janina Menkes podeszła do właścicielki drogerii i uścisnęła jej rękę. — Winszuję pani! Sprawa zakończona. Teraz już trzeba tylko ułatwić pozwanej — oświadczyła wielkodusznie — odbiór z depozytu pięćdziesięciu tysięcy złotych.

— Oh, droga pani — wyrwało się niebacznie (o czym się zaraz przekonamy) z ust kobiety finansującej rozwód — oh, droga pani, ja bym nie pięćdziesiąt a dwieście lub nawet trzysta...

— Ssss!... — ostrzegła pani mecenas, niestety, za późno!

Jadwiga Kłopotowska, która była świadkiem tych słów, zatrzymała się i oparła o ścianę, jak gdyby bliska omdlenia. Nie przeszkadzało jej to jednak zacisnąć mocniej ręki na parasolce, a właściwie — na gałce wyobrażającej główkę ptaszka.

Narzeczeni pożegnali się wylewnie ze swą świetną obrończynią i zaczęli zstępować powoli po marmurowych schodach. Jaś naturalnie trzymał swą przyszłą drugą żonę pod rękę.

(Dokończenie na str. 11)

MIECZYSŁAW GURANOWSKI

KROTOFILA ZYGMUNTA AUGUSTA

(Ciąg dalszy)

Ale to były jeno marzenia! A tu, za murami zamku, skąpana w promieniach słonecznych, niosąca w ramionach zapach czeremchy, jawiła się wiosna. I wrażliwa dusza Zygmunta Augusta chłonęła jej czar, a usta pomimowoli szeptały modlitwę dziękczynną.

Jaśko zaś widząc smutek, malujący się w oczach panowych, wysilał elokwencję, ażeby wywołać uśmiech na usta Zygmunta.

— Hej — mówił — dawne to były dzieje, wżdy jako my ninie, wędrówki po Polsce król Kazimierz odprawował. Mało który domyślił się w podróżnego osobie — majestatu. Toć się zwiedził mądry król, co o nim trzyma i szlachcic, i chłop, i białogłowa! Wasza miłość — zawołał nagle Krzeszowicki — mam ja myśl krotofilną: przebierzcie się za dworzanina, a zabawy będzie co niemiara.

Zygmuntowi spodobała się ta myśl.

— Zgoda, — rzekł owo ja będę tobą, ty zaś mną.

— Zali potrafię? — spytał skromnie dworzanin.

— Spróbujesz, a ja ci dopomogę. — Ale się zaraz zasępił — Jeno co będzie z Sylviem, nie zgodzi się na takową maszkarę.

— Wasza miłość, już ja Amata weźmę na siebie, jeno czekajcie postoju; z towarzyszami także się uporam. A krotofila będzie przednia, zobaczycie.

Jakoż słońce było już wysoko na niebie, kiedy zatrzymali się przed gospodą pod „Złotą Kulą". Gospodarz, zwąchawszy, że znaczną personę przyjmuje, oddał co przednie izby towarzyszom, nakazawszy wymościć je kobierczykami. Szydłowiecki, który pełnił funkcję kwatermistrza, zabrał się do rozfasowania sepetów, w których miejsce poczesne zajmowały butelczynki węgrzyna. Zaczem na rozkaz pana Amato kompania się rozdzieliła mniej znaczni zajęli izbę obok, zaś przy osobie królewica pozostał jeno Sylvio oraz Krzeszowicki. Zasiedli tedy samotrzeć za stołem, który gospodarz czem mógł przyozdobił. Messer Sylvio, jako że nie gardził napitkiem (węgierskie przenosił nad ojczyste) raczył się obficie mocnym winem, w czym mu był pomocny rzetelnie Jaśko, biorąc na się dobrowolnie funkcję podczaszego.

W ościeni słychać było wesoły pogwar junactwa, któremu przewodził Stach Gniewosz, mający głos tubalny, niczym trąba jerychońska.

Tu gruntownie badano miód, pamiętający czasy Jana Alberta. Śród wiwatów i radosnych pokrzyków, prym dzierżyły swywolne zwrotki Dantyszkowej piosenki:

... Was błagamy my pijacy
naszą chwałę śpiewający
zakrapiajcie nas statecznie
i teraz i wiecznie.

W obydwóch izbach czynił się pogwar swojacki, miły, co to łzy wyciska z oczu i głosi sarmackie miłowanie. Pan Sylvio Amato, zacne włoszysko, więcej się znając na rodzajach węgrzyna, niżeli na Ksenofoncie, pofolgował sobie z wielkiej uciechy i dumy. Po wypiciu dobrych kilkunastu czarek, rzekł:

— Wasza miłość, a pozwólcie przywołać lutnistę.

Krzeszowicki, jak w dym, ruszył po Giovanniego, który także niepewnie trzymający się na cienkich nóżkach, czekał komendy.

— Wasza miłość, — ciągnął mistrz Amato rozlewnie — nakażcie lutniście zaśpiewać one strofy partenopeańskiego poety, sławiącego rozstanie najjaśniejszej królowej Bony z jej dostojną macierzą...

Zygmunt dał znak, po czym Giovanni uderzył w struny i zaśpiewał:

... io pur ti chiamo, o figlia! ove
son quelle
grate accoglienze tue?...

A kiedy ostatnie zwrotki pieśni przycichły, ukołysany wspomnieniem, Sylvio, zaczął:

— Boć to było rozstanie, które wszystkim obecnym łzy wycisnęło na oczy. A ledwośmy odbili od wybrzeża, rzekłbyś: Neptun i Eol jakoby się sprzysięgli, aby córy italskiej nie wypuszczać; błyskawice i pioruny wzburzyły fale, a zaś od brzegów Afryki dął piekielny sirocco. Czasy to były, czasy...



Rys. Edmund Bartłomiejczyk

A oni spoglądali na pannę, bo zaiste, był to nielada obrazek.

Tu messer Sylvio ze wzruszenia rozpłakał się, Jaśko zaś, chcąc mu się przypodobać, chlipał jak na komendę aż zdumiał się Włoch i zapytał:

— A ty, czemu płaczesz?

— Z żalu, waszmość panie, iże mnie tam nie było.

Sylvio się roześmiał

— Takiego bajbardzo toby barka zatopiła.

— Nie była wżdy dziurawa jako żeście messer załatali ją własną klepką.

Królewic wybuchnął śmiechem i spoglądał z niepokojem to na Włocha, to na Krzeszowickiego, czekając, aza ów prędko wyleci z izby, wszelako Sylvio udał, że nie rozumie, jeno się dobrodusznie uśmiechnął i rzekł:

— Stańczyk daleko, a Krzeszowicki blisko.

— Pożyczam sobie od niego dzwoneczków, — odciął się Jaśko.

— Messer Sylvio, — zaczął królewic, — dobry żart tynfa wart! Jakoż my z Krzeszowickim ułożyli krotofilę którą ci wyłuszczę, a ty jej nie popsowaj, bo takowa jest moja wola.

I opowiedział pokrótce sens żartu. Rzucił się zrazu Włoch w trosce o powagę majestatu. Ale gdy mu Jaśko opowiedział o podróżach króla Kazimierza, zgodził się, — zaczem odprowadzony przez Krzeszowickiego, acz krokiem niepewnym, izbę opuścił. Jakoż na niebo wypłynęły gwiazdy, miesiączek rogi pokazał, i niebawem kompania dworska jęła się do snu sposobić. Jaśko rozebrał królewica, sprawdził straże i położył się przy stopach panowych. Za chwilę odezwało się sapanie, mruczenie oraz gadanie świerszczów.

— Ratunku, sam tu! Kto w Boga wierzy... — pokrzykiwał przez sen pan Amato, — królewic zabit, Jaśko Krzeszowicki królem obrany!...

Na szczęście nikt tych sennych pokrzyków nie słyszał, jako że brać pod patronatem imć Bachusa leżała nieprzytomna, a królewic z Jaśkiem aże się pokładali ze śmiechu.

W końcu zaległa zupełna cisza. Po starej karczmie snuły się jakoweś dziwadła, a biel miesięczna, płynąca wąskim pasmem do izby, jęła zdobić sprzęty w potworne, zda się, koszmary. Królewic nie mógł zasnąć. Przelotna uciecha ustąpiła zwykłej melancholii. I Zygmunt August zapragnął w tym momencie czuć przy sobie duszę wdzięczną, a sobie oddaną.

— Jaśko, śpisz? — spytał, — dotykając przyjaciela.

Krzeszowicki zerwał się na równe nogi.

— Wedle rozkazu, wasza miłość, czuj duch!

— Sen się mnie nie ima. — odezwał się Królewic — wstań, Jaśko, i odewrzyj okiennice.

Giermek uczynił zadość życzeniu pańskiemu, zaczem do izby napłynęła woń bzu, rosnącego opodal; w pobliskiej olszynie śpiewały słowiki.

— Jaśko, — zaczął Zygmunt — powiedz, czemu mi wżdy tak tęskliwie, chociażem królewic? Toć nie brak mi bogactw i uciechy, czemu mi tak smutno na świecie?

— Bo serce macie, panie, miłujące a miętkie jak aksamit... To, że was człowiecze nęka ubóstwo, bolenie...

— Nie to, Jaśko, jeno słysz, a pomnij, nie zdradź mnie przed dworzany! mnie tak ci źle na świecie, że ojciec mój tu się rodził, a macierz za morzami. To ja się wżdy tak poniewieram między jednem a drugiem. Rodzic olbrzymi, jako ten dąb, i jako ten dąb silny, śmiałości do niego nie mam, a matka?... Hej Jaśko, lube w jej pokojach wieczornice, krasne dziewki, ale puste to, ale nikłe jako perzyna...

Zamilkł i w spieczone wargi zaczerpnął powietrza:

— Kiedy zaś poza mury zamkowe wyruszę, to świat, zda się, inny, wielgachny, mocarny. Echa wołają. za ojczyznę się bij. To się za bary pragnę zmagać — z kim? Nie wiem sam, aleć chcę, aleć pragnę! Wszelako, gdy na Wawel powrócę, znów będę słabeńki, znów lękliwy.

— Królewicu, to minie — pocieszał Krzeszowicki, — jeno z młodych lat wyjdziecie, jeno tron odzierżycie.

— Nie to, — odpowiedział Zygmunt — Bóg raczy wiedzieć jakie aspecta mi na gwiazdach pisane, jeno to mnie żre, że królowa z panami — radą przeciw rodzicowi knuje, a ja to wiem! Boć oni tam w onych komnatach pozłocistych, w onych fraucymerach pachnących mniemają, iże mnie uśpili muzyką i pląsem ,a we mnie ból i gniew i królewska duma!

Nagle ozwał się grom, i padły ciężkie krople deszczu. Jaśko przymknął okiennice ,otulił królewica kiereją, i gładząc jego dłoń, mówił:

— Spocznijcie, — wasza miłość. Matka Przenajświętsza dopomoże, i wszystko się odwróci.

Pod wpływem onych słów tkliwych uspokoił się Zygmunt i niebawem zasnął ,gdy tymczasem na dworze rozsrożyła się burza wiosenna, trwająca niemal do świtu. Zaś rankiem, kiedy rozbudziła się gospoda „pod Złotą Kulą" jaśniało ci już pełne słońce, a ziemia przesiąknięta wilgocią, wydała bujną zieloność. W Zygmunta jakoby wstąpiło nowe życie. Majaki nocne rozwiały się nakształt mgły. Uśmiechał się do słońca, do pąków rozkwitłych podczas nocy. Jaśko rozbudzał jeszcze wesołość młodego pana, uwijając się wedle pomyślnej krotofili. Wyłożywszy „ciasnym łbom" towarzyszy wszelakie arkana zabawy, przebrał siebie za królewica, królewicowi zasię nałożył szatki dworzanina. Jeszcze poniektóry się dziwował, jeszcze otrzeźwiały pan Amato negował, aliści Krzeszowicki wszystkich przekonał i dla sprawy usposobił, a zaś w parę pacierzy poczet ruszył dalej, kierując się na Balice, własność Bonerów krakowskich.

Dworzanie, pragnąc zabawić młodego pana, dokazywali ponad miarę. Ów podrzucał „w obłoki" kordelas i chwytał go w locie; ów naśladował głosy ptaków i zwierzy; ów wyśpiewywał ucieszne piosenki łobzoskie; ów opowiadał dykteryjki o biskupie Gamracie, „co pożerał kilkanaście kapłonów, grzesząc w celibacie"... Zygmunt pokładał się ze śmiechu, i zaprawdę, nie poznałaby w onej chwili syna Bona Sforza! Jeno messer Amato gasił czasami wybuchy wesołości swojem:

— Basta, basta, — pilnując, ażeby między dworzany a majestat nie zakradła się zbytnia konfidencja.

Jakoż słońce zaczęło przygrzewać, a kompania głodna i spragniona myślała o spoczynku. Jak na złość rozpoczęła się uciążliwa droga piaskowa, a wokół nie widziałeś nijakiego osiedla. Dopiero o parę stajań spotkali chłopaka, który z worem konopi szedł na targ do Sukiennic i Gniewosz jął się wypytywać ,gdzieby zaś schron tu można znaleźć.

— Adyć, niadaleczko, — odpowiedział, — na prawo ode krzyża, co go jasne pany widzicie, stoi dworek imć pana Kordasza...

— Kto zaś ów pan Kordasz?

— Powiadają starszy on nade dworem imć pana podczaszego Lisickiego. Dobry pan, gościny nie odmawia.

(Dokończenie w następnym numerze)

Marko Larsen

ATAKUJEMY PRZY POMOCY RADARU

— Maszyna w porządku?...

— Tak jest, panie chorąży — odpowiedział szef machaników, skrupulatnie wycierając gałgankiem czarne, skąpane w oliwie ręce.

— Podobno niedawno wróciła z remontu?

— Tak, lewy został zmieniony — odpowiedział mechanik, podając książkę samolotu.

— Aha, zużycie paliwa — owszem — dobre. Słyszałem, że „staremu" na ostatniej „wojnie" spadały obroty i nie mógł wyregulować „boosta"... — zagadnął pilot oddając książkę.

— Tak, to prawda, ale teraz już wszystko jest w zupełnym porządku.

— No, więc w takim razie kręcimy!...

Załoga przez dłuższy czas zajęta była wrzucaniem ekwipunku do samolotu. Czegoż tam nie było: spadochrony, łódki ratunkowe — tzw. „dinghy", żywność, rakiety i wiele innych rzeczy, niezbędnych do długiego patrolu nad olbrzymią przestrzenią Oceanu Atlantyckiego.

Gdy już wszystko zostało załadowane, nieforemne postacie grubo ubranych członków załogi, gramoląc się po drabince, z trudem przeciskały się przez maleńki otwór do wnętrza Wellingtona.

Antoś przemocą wcisnął się w siedzenie pierwszego pilota. Lewą ręką odsunął celuloidową szybę i machając kciukiem w stronę czekających mechaników zawołał:

— Gotowe?... Kontakt!

Rozległ się jękliwy gwizd rozrusznika. Mały ruch prawej ręki i trójramienne łopaty lewego silnika drgnęły w takt przerywanego grzmotu silnika.

Wkrótce samolot począł drżeć od rytmicznego ryku pracujących silników.

Edek obładowany jak wielbłąd tajemniczymi przyrządami nawigatora, klął, że człowiek w jego wieku zamiast siedzieć przy żonie i korzystać z dobrodziejstw ogniska domowego, musi osły po niebie wozić, bez względu na porę dnia i roku. Edek zawsze narzekał: to reumatyzm, to żyłaki, innym razem — nerki lub niestrawność. Głośno jęcząc począł rozkładać na stoliku nawigatorskim: mapy, protraktory i masę najprzeróżniejszych mniej lub więcej koniecznych rzeczy. Edek, były asystent-chemik Politechniki Lwowskiej, pomimo swej inklinacji do gderania, był pierwszorzędną siłą — nawigatorem jakich mało.

Trzech pozostałych członków załogi — to „radioci", pełniący zarazem funkcję strzelców pokładowych i operatorów radarowych.

Heniek, młody roztargniony blondyn, siedział błędnie wpatrzony w swego Marconiego. Od czasu do czasu manipulował niezliczoną ilością kontaktów, przełączników i innych gałek. W tym momencie Zuzio, przełączając pokładowy mikrofon, poprosił Antosia o zwiększenie obrotów, by umożliwić mu sprawdzenie radaru.

Przeciskając się przez zwoje instalacji Lee Lighta wędrowałem do wieżyczki tylnego strzelca. Po włączeniu wtyczki do hauby usłyszałem zawsze flegmatyczny, spokojny głos Antosia: „Wszystko w porządku?"... Krótka przerwa. „Kołujemy".

Zamiatając ogonem „Dziadek" ciężko, ale zdecydowanie potoczył się w stronę drogi startowej.

Przed wejściem na pas — próba silników. Podnosząc do góry tumany śniegu, Wellington drżał przy stale zwiększających się obrotach, wstrzymywany hamulcami. Zielone światełko wozu startowego pozwoliło nam wejść na pas...

„Hallo! Kontrola! Hanka gotowa do startu".

„Możecie startować"!

„Nawigator?".

„Gotów!".

„Radio?".

„Gra!".

„Wieka!... Karabiny — okey!

„A. S. V. Radar!"...

„Trochę nawala, ale można!".

Antoś umieścił się w siedzeniu, dopiął maskę tlenową, włączył na stałe mikrofon i rzucił krótkie: „Startujemy!". Zwolna prąc na manetki skupił całą swoją uwagę.

Coraz szybciej przesuwa się biała panorama lotniska. Grzmot silników zlewa się w jedną melodię, jękliwy hymn kilku tysięcy koni mechanicznych. Cały kadłub drży od potężnego wysiłku.

„Dziadek" powoli podnosi ogon. Koła już tylko muskają powierzchnię śniegu, ale Antoś jeszcze nie pozwala oderwać mu się od ziemi, przydusza go. Wybieg musi być długi, maszyna jest przeciążona. Bomby, zapas paliwa na jedenaście godzin oraz masa innego ekwipunku robi swoje. Tuż przed końcem pasa Antoś powoli ściągając podrywa ciężkie białe cielsko popularnego „Whimpy".

— Hallo, wieża! — tu „H" jak Hanka. Airborn. godzina 18.04...

— Zrozumiałem — dziękuję. Good luck, boys!

Drugi pilot Stasio przesuwa dźwignię i podwozie znika w skrzydłach. Pierwszy skręt. W półmroku łagodzonym bielą śniegu Hanka robi „pożegnalną" rundę.

Rozległ się potężny ryk pracujących na gazie silników, z rur wydechowych buchnęły długie języki niedopalonej mieszanki.

Mignęło zielone światełko wozu startowego i Wellington wznosząc tumany śniegu potoczył się zwolna nabierając szybkości.

Monotonnie szumiąc silniki pracują na obrotach przelotowych. Stasiek przyjmuje kontrolę nad maszyną.

— Kurs 248 — podaje Edek.

— Okey! — Trzymam 248.

Z cyklu: „Moja załoga"

W maszynie panuje posępny półmrok. Pod nami zwolna przesuwa się biała płachta ziemi, upstrzona czernią rzadkich zabudowań i lasów.

Na horyzoncie ołowiane niebo zlewa się z ziemią, tworząc jakoby kopułę, której ściana drwi z nas swą nieuchwytnością.

„Whimpy" majestatycznie płynął w dal. Tak, płynął — bo jakże inaczej można określić jego powolny, flegmatyczny lot w tym cichym, łagodnym półmroku, gdy na tle szarej nieskalanej dali zanikało wszelkie poczucie szybkości a nawet ruchu.

Półmrok zwolna przeistaczał się w dziwnie szarą noc. Defilowaliśmy wśród tarasów białych kłębiących się chmur.

— Edek, wychodzimy na morze.

— Okey! trzymaj poprzedni kurs — odpowiedział nawigator.

Daleko przed nami śnieżna biel ziemi urywała się gwałtownie znacząc kontury swych brzegów groźną niegościnną czernią oceanu.

Jeszcze tyle godzin lotu. Jeszcze jeden długi męczący patrol. Psia krew! Włóczy się człowiek na tym oceanie, tam i z powrotem. Przydzielony rejon patrolujemy zygzakami. Piekielnie nudna robota. Zabójcza wprost monotonność. Nawet w dzień wzrok nie może znaleść oparcia. Wszędzie tylko niebo i brudnawo-szara płachta wody, cóż dopiero mówić o nocy. Riki pewnie znowu teraz siedzi w barze z tą rudą, a tu siedź człowieku jak kołek...



Przy celowniku

W maszynie panowała cisza. Sześciu ludzi podświadomie żegnało ziemię, każdy na swój sposób łącząc się z nią myślami.

Piloci siedzieli w ciemności swej kabiny na tle wahających się, błyszczących zielonkawym światełkiem fosforyzowanych strzałek zegarów. Czarne sylwetki ich głów, zaobrębione kształtami haub, odbijały się na tle jaśniejszego nieba wyzierającego z celuloidowych prostokątów szyb.

Tylnia wieżyczka też była pogrążona w ciemności. Tak piloci, jak i tylni strzelec muszą dobrze widzieć otaczający ich świat, dlatego też muszą pogodzić się z brakiem światła.

Nawigator natomiast królował w jasno oświetlonej kabince. Siedział pochylony nad mapami, kreślił i obliczał. Miał swój maleńki światek.

Dolot do obszaru, który mieliśmy za zadanie patrolować, trwał około półtorej godziny. Edek od czasu do czasu podawał zmiany kursu i pozycję.

Zostałem zaproszony przez nawigatora na kubeczek gorącej kawy, pochodzącej z naszego termosu. Zuzio zaopiekował się wieżyczką, a ja przy dobrym [illegible] miałem możność podziwiać zaradność naszego Edzia, który, wiedziony doświadczeniem, zaopatrzył się w nieprawdopodobne wprost ilości wyśmienitej „wałówy". „Nieprzeciętny smakosz" — pomyślałem rozkoszując się większą ilością misternie skomponowanych kanapek.

Po miłej pogawędce z nawigatorem polazłem na miejsce Zuzia.

— Uwaga! Wchodzimy w rejon patrolowania... przyjmij kurs 210!

— Okey... steruję 210 — odpowiedział pilot.

Rozpoczęło się żmudne i monotonne oblatywanie naszego odcinka długimi, krzyżującymi się zygzakami.

Operator pracujący przy radarze siedział wpatrzony w ekran, bacznie śledząc jego żółto-zielone tło. Wirujący promień wskazywał kierunek fal wysyłanych przez ruchomą, umieszczoną „w nosie" samolotu antenę. Rzucane na pewną odległość fale wracały łapane przez tę samą antenę, dając na ekranie odbicie wszystkich obiektów spotkanych na wodzie względnie w powietrzu. Kształt odbijających się na ekranie jasnych plam określał, czy jest to samolot, okręt czy ląd.

Radar „Mk. 6 a" składa się z dwudziestu dwóch skrzynek: nadajnika, odbiornika, modulatora, pięciu skrzynek kontrolnych, skrzynki antenowej, ekranowej itp., — reszta to wzmacniacze. Jest to automat, przy pomocy którego nie widząc celu można przeprowadzić precyzyjne bombardowanie. Aparatura jest zsynchronizowana z wyrzutnią bomb. Poza tym byliśmy wyposażeni w specjalne urządzenia radarowe do ślepego lądowania przy widoczności 0 (t. zw. lądowanie na „Babsa").

Wyszkolona znakomicie załoga automatycznie wykonywała swą pracę. Samotna maszyna długo w czarnej nocy przemierzała swą trasę. Mała poruszająca się kropka nad tym olbrzymim obszarem wód, setki mil od najbliższego brzegu, była czymś śmiesznie małym i niepozornym.

W słuchawkach rozległ się trzask.

„Kontakt! — 90 stopni z prawej — 14 mil!"

Siedzący za sterami Stasio rzucił krótko: „Skręcam!" — a po chwili dodał: — „Obudźcie Antosia!"

Wstałem i z trudem począłem przeciskać się do przodu, gdzie w nosie maszyny, leżąc na miękkiej poduszce przy celowniku chrapał nasz pierwszy pilot. Potrząsnąłem go za ramię; natychmiast zapytał: „Co jest? — Kontakt?"

— Tak! — 90 stopni — 14 mil — odpowiedziałem.

— No! to fajnie.

Antoś włączył mikrofon i przejął kontrolę. Ciszę przerywał tylko głos radarowego, co pewien czas podającego poprawki i stale zmniejszającą się odległość.

„10 mil... 7 mil... 5... 3 stopnie w lewo — Okey, trzymaj!..."

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki prysnęła nuda i senność. Rozpoczynał się „cyrk".

W samolocie panował ruch. Edzio oderwany od kawusi i wałówki pognał do Lee Lighta.

W środku samolotu, tuż za komorą bombową, kształtem przypominającą olbrzymią żelazną beczkę o średnicy 80-ciu centymetrów, którą systemem hydraulicznym można opuszczać pod kadłub i wciągać z powrotem. Jest to potężny reflektor o olbrzymiej sile 3 i pół miliona świec, dający oślepiający wprost snop światła, którego żarząca biel zapędza w kozi róg światło dzienne, którego siła wynosi 1,5 miliona świec).

„Lee-Light odryglowany i wypuszczony" — meldował Edek naciskając dźwignię kontrolną, poczem poszedł w nos maszyny i położył się przy rączkach kontrolujących zapalanie i kierowanie snopem reflektora. Nad nim okrakiem stanął drugi pilot przy uchwytach przednich karabinów maszynowych, w każdej chwili gotowy do naciśnięcia spustu.

Daleko w czarną noc popłynął jękliwy odgłos szyfrowanego Morse'a. Przy głośno brzęczącym nadajniku wysyłam meldunek do bazy: „Idziemy na sprawdzenie kontaktu" — poczem podałem naszą pozycję i lokatę „kontaktu". Przynajmniej będą wiedzieli gdzie nas ewentualnie szukać.

„2 mile" — cicho podał radarowy.

Maszyna powoli traci wysokość schodząc na cel.

„Drzwi bombowe otwarte!"

„Półtorej mili, lekko z prawej..."

„Widzę... ale bardzo słabo... prawdopodobnie łódź... widzę bielejący się ślad!... Tak! Tak!... Na pewno łódź!" — cedził Antoś.

Nadajnik nastawiony na pełną moc; wysyłam:

„Godzina 23.03... „H" jak Hanka idzie do ataku na łódź podwodną nieprzyjaciela, płynącą kursem 094, szerokość 61.06, długość 23.08".

Przełączyłem IFF na „Niebezpieczeństwo".

„Mila... na kursie!..."

„U-w-a-g-a!... Z a p a l a m!"

Oślepiający snop światła przeciął ciemności. Na morzu wykwitła przeraźliwie biała plama, lekko zachwiała się, muskając falującą powierzchnię wody, prawym brzegiem swego kręgu chwytając czarny kształt wieżyczki i smukłego kadłuba na gwałt usiłującej zanurzyć się łodzi. Równocześnie w słuchawkach zagrzmiał suchy trzask karabinów przedniego strzelca. Kadłub wypełnił się gryzącym swędem spalonego prochu. Maszyna drgnęła. Wszyscy wiedzieliśmy, bomby poszły!...

„Cholera! Zdaje się, że trochę za późno!" — zaklął Antoś.

W tym samym momencie zagrały kaemy z tylniej wieżyczki.

„Trafiona!... Pomiędzy piątą a szóstą bombą" — wrzasnął strzelec nie odrywając rąk od spustów. — „Zanurzyła się!"

Ostry skręt i znów nachodzimy na miejsce gdzie paliły się wyrzucone wraz z bombami „marine-markery".

Jeszcze raz zapaliliśmy reflektor. Łódź znikła z powierzchni, pozostała tylko skrząca się, wypogadzająca fale, stale rosnąca plama oliwy.

Mógł to być zwyczajny trick: plama oliwy i pływające skrzynki i inne graty to jeszcze nie dowód zatopienia. Mieliśmy wprawdzie zdjęcia z automatycznego aparatu, ale te są [illegible] dopiero po powrocie do bazy. Całą naszą nadzieję, że łódź została zatopiona opieraliśmy na opinii tylnego strzelca, który zapewniał nas, że dokładnie widział wybuch bomb głębinowych i twierdził, że żadne płyty stalowe nie wytrzymałyby ciśnienia, spowodowanego tak bliskim wybuchem.

(ciąg dalszy w następnym numerze)

PŁYNNY OWOC

ZNAKOMITA ODŻYWKA DLA DZIECI I STARSZYCH, A ZWŁASZCZA DLA CHORYCH

Już przed wojną napotykało się w handlu butelkowany napój podobny do wina a zwany „płynnym owocem". Obecnie, przyznać to należy, ów „płynny owoc", który w szerokich sferach konsumentów zdobył już sobie t. zw. prawo obywatelstwa — widuje się w witrynach sklepowych coraz częściej.

Czym jest ów napój? „Płynny owoc" jest czystym surowym sokiem owocowym, posiadającym wszystkie naturalne cechy tego owocu, z którego został wyprodukowany.

Zainteresowaliśmy się produkcją tego nowego napoju i by ze szczegółami jej zapoznać Czytelników pojechaliśmy do Zakładów Wytwórczych „Społem" w Dwikozach k/Sandomierza, które pierwsze w Polsce wypuściły na rynek ten pod każdym względem doskonały środek odżywczy dla dzieci i starszych, a zwłaszcza chorych i rekonwalescentów.

Przede wszystkim trochę wiadomości o samych Zakładach. Rejon Sandomierza, to tereny sadownicze, gdzie udają się niemal wszystkie gatunki owoców. Sadownictwo miejscowe przed wojną wiele miało kłopotów ze sprzedażą swoich zbiorów, brak bowiem w najbliższej okolicy dużych ośrodków miejskich uszczuplał rynki zbytu. Należało owoce wywozić a stosunkowo duże koszty transportu zmuszały ogrodników sandomierskich do sprzedaży ich plonów niejednokrotnie poniżej kosztów produkcji. Taki stan rzeczy groził gospodarstwom ogrodniczym upadkiem. Należało temu jakoś zaradzić. Oto zwrócono się do „Społem" z propozycją wybudowania i uruchomienia fabryki przetworów owocowo - warzywnych.

Było to w 1937 r. Gmina ofiarowała Związkowi „Społem" plac w Dwikozach pod budowę fabryki wielkości 1 ha. Związek dokupił dalsze 5 ha terenu i rozpoczął budowę fabryki, która w 1938 r. została zakończona. Wyposażono fabrykę w najbardziej nowoczesne przywiezione z zagranicy maszyny i urządzenia, poczym rozpoczęto produkcję: surówki owocowej (płynny owoc), marmelad i soków.

Była to pierwsza tego rodzaju fabryka w Polsce. Produkcja fabryki była swego rodzaju sensacją. Surówka owocowa (płynny owoc) była wtedy zupełnie nieznana. Pito ją jak lemoniadę, a była przecież pełnowartościowym napojem odżywczym (czysty, wyciśnięty z owoców bezalkoholowy sok bez żadnych domieszek w stanie surowym, tylko pasteuryzowany, a więc o żyjących witaminach), który spożywany powinien być zwłaszcza zimą, zastępuje bowiem ten eks trakt owoce jakich w zimie brak.

Celem fabryki było przerobienie owoców w sezonie i danie ich w ciągu całego roku w postaci pełnowartościowych przetworów konsumentowi po możliwie najniższych cenach, no bo tego wymagała przedwojenna sytuacja materialna świata pracy, dla którego przede wszystkim przeznaczona była produkcja.

Podkreślić należy wyjątkowo szczęśliwy wybór miejsca dla fabryki. Znajduje się ono w centrum produkcji sadowniczej, co sprowadza do minimum koszty transportu surowców.

Okres wojny polsko - niemieckiej w 1939 r., a później czasy hitlerowskiej okupacji fabryka szczęśliwie przetrwała, pracując dla celów wyżywienia ludności .t zw. „Gubernii Generalnej". Była wtedy doskonałą „meliną" dla ludzi „spalonych", t. zn. politycznych i wojskowych działaczy niepodległościowych, którzy zagrożeni represjami krwawego okupanta tam znaleźli stosunkowo bezpieczne schronienie.

W czasie okupacji fabryka została trochę rozbudowana. Wybudowano wtedy suszarnię owoców i warzyw.

Uchodzący z Polski w 1945 r. Niemcy fabrykę częściowo rozszabrowali. Budynki jednak i zasadnicze urządzenia zostały. Zabrano się do pracy. Wyremontowano maszyny i uzupełniono urządzenie we własnym zakresie.

Jeszcze w 1945 r. fabryka ponownie ruszyła produkując: 15.800 ltr. płynnego owocu, 6.500 kg marmelady owocowej i 22.000 ltr. soków. W 1946 r. produkcja wzrosła do: 330.000 ltr. płynnego owocu, 178.000 kg marmelady i 30.500 ltr. soków. W 1947 r. nastąpił dalszy wzrost produkcji do: 442.000 ltr. płynnego owocu, 270.000 kg marmelady i 126.000 ltr. soków. Na rok bieżący zaplanowano wyprodukowanie: 600.000 ltr. surówki, 600.000 kg marmelady i 300.000 ltr. soków. Dodać należy, że w br. wykorzystana zostanie zdolność produkcyjna Zakładów zaledwie w 50%.

Zakłady są całkowicie zmechanizowane. Zatrudniają w tej chwili 140 pracowników stałych. W sezonie stan ten wzrasta o 100%. Ostatnio wybudowano murowany magazyn na półfabrykaty o powierzchni 500 m. kw., 2 baraki dla celów przechowania opakowań o łącznej powierzchni 400 m kw. i urządzono laboratorium, którego zadaniem jest ścisła kontrola surowca, półfabrykatów i gotowych wyrobów.

Obok płynnego owocu, marmelady i soków, Zakłady produkują jeszcze dżemy owocowe, marynaty warzywne, konserwy warzywne, owoce suszone, kompoty, warzywa suszone, powidła i koncentrat pomidorowy.

Spółdzielczy Dom Towarowy w Bydgoszczy

BYDGOSKIEJ SPÓŁDZIELNI SPOŻYWCÓW



Fragment wnętrza Działu Tekstylnego

SANDOMIERZ — OŚRODKIEM SZKOLENIA SPÓŁDZIELCZEGO

Jesteśmy w Sandomierzu — starym nadwiślańskim grodzie. Poniedziałek — dzień targowy. W mieście ścisk i ruch niecodzienny. Okoliczni rolnicy zjechali do stolicy Ziemi Sandomierskiej, by tu korzystnie spieniężyć płody swego trudu i przy okazji zaopatrzyć się we wszystkie potrzebne im przedmioty gospodarstwa wiejskiego. Obszerny rynek i jego najbliższe okolice są dosłownie zatłoczone wozami.

Zaglądamy do siedziby Oddziału Powiatowego „Społem", która znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie rynku przy ul. Zamkowej 2. I tu panuje ruch wyjątkowy ożywiony. Wita nas kierownik Oddziału ob. Piotr Lekston — jubilat pracujący w spółdzielczości od 1918 r.

Rozpoczynamy z ob. kierownikiem rozmowę, z której dowiadujemy się, że Oddział „Społem" w Sandomierzu jest ośrodkiem, wokół którego koncentruje się całe życie gospodarcze tego silnie przez działania wojenne zniszczonego powiatu. (Zaminowane tereny tzw. przyczółka nadwiślańskiego, których rozminowanie zakończono niedawno). O dominującej roli gospodarczej Oddziału w powiecie świadczą wymownie obroty tej placówki. W stosunku do 1945 r. wzrosły one w 1946 roku (bez wyrobów PMS) — o ca 435 procent, a w r. 1947 — o ca 1.300 proc. Pod względem wysokości obrotów Oddział w styczniu br. zajął IV w Okręgu Radomsko - Kieleckim miejsce. W roku bieżącym przewiduje się dalszy wzrost obrotów.

Największą bolączką Oddziału były do niedawna magazyny dzierżawione, nieprzystosowane do potrzeb i rozrzucone w kilku punktach miasta. W listopadzie 1946 r. zakupiony został w Nadbrzeziu plac o powierzchni 9.000 metrów kw. w dogodnym punkcie, położonym pomiędzy stacją kolejową i portem rzecznym na Wiśle. Na placu tym wybudowano jeden magazyn murowany o powierzchni 480 m kw., dwa magazyny drewniane o łącznej powierzchni 300 m kw., oraz bocznicę kolejową, łączącą magazyny ze stacją kolejową i portem na Wiśle. Obecnie Oddział posiada magazyny tylko w 2 punktach miasta: przy siedzibie Oddziału i w Nadbrzeziu na własnych terenach. Trzy dzierżawione magazyny zlikwidowano.

Wzniesione własne budynki nie rozwiązują potrzeb Oddziału. Toteż w br. projektowana jest budowa nowoczesnych żelbetonowych magazynów i wygodnego budynku biurowego, co dopiero umożliwi dalszy rozwój działalności Oddziału.

Na terenie powiatu istnieje 5 spółdzielni spożywców, 2 księgarskie i 17 gminnych "Samopomocy Chłopskiej", które ostatnio powołały do życia swój Związek Powiatowy.

Sandomierz leży na skraju powiatu. Stąd niektóre spółdzielnie oddalone są o ca 50—55 km od Oddziału. Przyszła rejonizacja niewątpliwie rozwiąże i tę bolączkę, przydzielając oddalone zbytnio ośrodki do innych rejonów, a przy łączając do Oddziału w Sandomierzu te tereny z sąsiednich powiatów, które gospodarczo ku niemu ciążą.

Współpraca kierownictwa Oddziału z władzami układa się bardzo pomyślnie. Podkreślić tu zwłaszcza należy zdecydowanie życzliwe do Oddziału stanowisko ob. starosty Wojciecha Tomaszewskiego. **(k).**



Grupa pracowników Oddziału „Społem" w Sandomierzu

KROKI ROZWODOWE

(Dokończenie)

Oczywiście, zapomnieli zaraz o bożym świecie i nie podejrzewali nawet, że krok w krok za nimi zstępuje po schodach samotna pierwsza żona z parasolką.

Przed wielkim frontonem gmachu sądowego, po drugiej stronie ulicy rozpościera się duży, starannie utrzymany skwer z wystrzyżonymi zielonymi stożkami krzewów, czerwonymi rabatami kwiatów, żwirowanymi alejkami i białymi ławkami.

Usiadłem tam właśnie, żeby wypalić papierosa, gdy Jasia dosięgło uderzenie parasolką w głowę. Było to jedyne uderzenie, bowiem rozległość skweru umożliwiła ucieczkę, a narzeczeni zorientowali się szybko w sytuacji i zaczęli zmykać.

Tęga, przysadzista kobieta ścigała ich bezskutecznie, wypełniając alejki męskim, urywanym krzykiem: — Masz moje błogosławieństwo na nową drogę!... Za to, żeś taki czuły!... Że tak dbasz o kieszeń tej flądry!... Ja ci jeszcze dołożę!

Pojąwszy widocznie beznadziejność swego zamiaru, zaniechała dalszej pogoni. Pogroziła tylko uciekinierom parasolką i usiadła na białej ławce opodal mnie.

Zastanawiałem się, co ją mogło skłonić do takiej gwałtownej akcji?... Czy chęć ukarania Jasia, który ją tak wykierował, że zamiast dwustu tysięcy otrzymała tylko pięćdziesiąt?... Czy zraniona ambicja kobiety, której druga, rywalka, odbiera mężczyznę?... Czy raczej uważała, że jest coś, czego nie można przebaczyć, z czym nie można się pogodzić, a mianowicie to, że dawniej Jaś był taki czuły i miły dla niej, a teraz przeniósł te czułości na inną kobietę?... Może właśnie za to obiła go parasolką? Nie wiem.

Muszę jednak przyznać, że współczułem tej samotnej, opuszczonej już teraz przez wszystkich kobiecie na ławce.

I że to chyba ona prędzej niż Jaś natchnęła mnie do napisania tego opowiadania.

Władysław Rymkiewicz

MICHAŁ RUSINEK

HISTORIA O SZYNCE I BUTACH ALBO ŚWIĘTA, ŚWIĘTA I PO ŚWIĘTACH

Przed każdymi świętami było i w naszym domu, jak wszędzie, podniecenie. Zaczynało się przed Wielkim Tygodniem, bo zapach zbliżających się świąt, przylatywał już wcześniej do domu. Pierwsza przynosiła go matka. Zwykle wieczorem, padało z jej ust takie zdanie:

— Wiesz, ojciec, że już są wystawy świąteczne w sklepach. Nawet ten skład z butami na rogu, wystawił już w oknie wielkie jajo z baziami.

Ojciec odpowiadał, że święta to nic szczęście, bo wszystko znów podrożeje i uciekał co prędzej do innego tematu. Łudził się, że uda mu się nie wpuścić do domu zwiastowania świąt, z którymi łączy się zawsze zamieszanie i niepotrzebne wydatki. Wysiłki jednak przezornego ojca były nadaremne.

Matka dawała pierwszy sygnał przedświąteczny, urządzała generalne pranie, czyli w języku ojca, istne piekło. Potem pomagaliśmy jej we dwójkę z bratem przy myciu drzwi i okien.

Z kolei przychodziła z ust matki wiadomość, że ślusarzowa z parteru kupiła sobie nową firankę na święta a fryzjer Ptyś, przychodzi późno wieczorem do domu, bo się wszyscy strzygą. Mówiła przy tym:

— Jest już bukszpan na mieście, widziałeś stary jak to zbliżają się te święta?

Nie przynosiła wprawdzie jeszcze bukszpanu, bo by wysechł, ale ustawiała w ten dzień na szafie wiązkę kwitnącej wierzby, w glinianym flakonie. Chwaliła się, że ta jej jest ładniejsza niż w sklepie na rogu z butami, gdzie są ładniejsze buty niż bazie i gdzie tyle ludzi się tłoczy, wszystko chcą wykupić. I to kupują dla dzieci, najwięcej dla dzieci. Mówiąc to patrzyła znacząco na moje nogi w sponiewieranym obuwiu.

Ojciec udawał, że nie widzi tego spojrzenia i robił dziwną minę, która znaczyła, że nie ma najmniejszego związku między sklepem z butami, baziami, bukszpanem i moimi nogami. Nie mniej jednak w taki dzień pierwszy dzień Wielkiego Tygodnia, zabierał się do naprawy, jedynego w domu tapczanu, który matka nazywała zawsze: madejowym łożem, chociaż ojcu było na imię Piotr a nie Madej.

Przewracaliśmy z bratem tapczan, który wyglądał od spodu jak martwy, szary żółw z zakurzonym brzuchem. Ojciec potrzył chwilę zafrasowany na sprężyny, które rozpychały się na wszystkie strony, kosztem nędznych taśm i stęchłych trocin, poczem zabierał się do robienia porządku. Zrywał taśmy, prostował sprężyny, wiązał je sznurkami, przywracał wszystko na właściwe miejsce. Naprawa tapczanu, która zdarzała się zawsze regularnie raz do roku w okolicy Wielkiej Nocy, znaczyła, że ojciec zaczynał już myśleć o świętach. Ale mówił:

— Święta przyjdą i przelecą, ludzie tylko się niepotrzebnie wykosztują. Zastaw się a postaw się, a potem co? Albo ta ślusarzowa, nie mogła dalej żyć bez firanki.

Matka chwytała za słowo.

— Wszyscy coś kupują. Zawsze myślimy w ostatniej chwili. Wiem, że i u nas się nie przelewa, ale zawsze raz do roku...

Już ją trochę ponosiło, ale wysilała się na cierpliwość. Wiedziała, że na doroczną awanturę, przeznaczony nie jest wielki poniedziałek, tylko wielka sobota, która niczym się pod tym względem nie różni od wigilii.

My chłopcy biegaliśmy po mieście. Ileż to było oglądania! I bukszpany i kolorowe jajka i baranki duże i małe, to znów całe stada owieczek idących szeregami po szklanych półkach wystaw.

W wielki czwartek, matka opowiadała ze smakiem o cudach jakie widziała w wędliniarni.

— Wszystko rozkupują, Piotrze, jak myślisz, może my też... małą cielęcą z kością... dzieci się ucieszą.

Słowo „dzieci“ było dla ojca największym taranem. Ojciec potrzył na mnie.

— Oni zasługują na szynkę, te zabijaki, te lenie, te nieuki! — mówił z groźną surowością.

Ale myśmy już wiedzieli, że po południu wybierze się z matką na miasto i że ja najmłodszy będę im towarzyszył. Szedłem i słuchałem. Zaczynało się mówić o małej cielęcej z kością, potem mówili o cielęcej bez kości, o takiej może małej wieprzowej, aż ojciec stawał przed wystawą nasycał się widokiem stosu lśniących wędlin, ustrojonych bukszpanem i nie wiem czy przekonany widokiem bukszpanu czy gładkiej skórki na szynce, mówił.

— Wiesz, może taką byśmy wzięli, chuda rozumiesz.

Wchodzili i kupowali wielką wieprzową. Gdy wychodziliśmy ze sklepu, matka była w płomieniach, ojciec dźwigał dumnie pakiet zalatujący wędzonym zapachem, nabierał wesołości i szedł raźno jak gdyby kupił całe miasto. Wtedy matka doprowadzała go chytrze pod narożny sklep z butami, zagadywała z lekka i nie za dużo, bo ojciec nie lubił być przekonywany, jako że sam zwykł był podejmować decyzję, aż koniec końcem wchodziliśmy do sklepu. O ile pamiętam, wszystkie, jakie miałem w swej młodości buty, dostawałem na Wielkanoc a starszy brat znowu na Wigilię.

Po powrocie do domu odbywał się cały ceremoniał. Oglądanie butów, pukanie palcem po podeszwie, wąchanie skóry przez ojca i macanie futrówki. Potem kładło się gazety na podłodze i defilowałem po gazetach w nowych butach przed całą rodziną i jedynym zaproszonym arbitrem — to jest ślusarzową, która przychodziła zobaczyć. Zresztą matka chciała mieć satysfakcję za pokazywanie firanek, więc demonstrowała moje buty i szynkę.

Po tym pokazie mody, chowałem buty do pudełka, przykrywałem je bibułką, bo w owych czasach pudełko na buty urządzone było jak pieścidełko z dwoma bibułkowymi firankami. Buty leżały niejako nieżywe jeszcze w tych bibułkowych pieluchach i czekały na Rezurekcję, kiedy dopiero miały zacząć chodzić po świecie, ku dumie matki i zadowoleniu ojca i mojemu zawstydzeniu, bo cieszyłem się i jednocześnie wstydziłem się wyjść w nowych butach na miasto, najgłębiej przeświadczony, że każdego przechodnia olśnią i zaintrygują.

Na drugi dzień późnym wieczorem zaczynał się drugi obrzęd z szynką. Matka paliła pod kuchnią niczym przy największym praniu. Na blasze czerwonej jak świeża krew, syczała woda i piszczał czajnik a ojciec rozbierał się do koszuli i szykował szynkę do gotowania.

Obnażona z papieru połeć leżała bez wstydnie na stole a cały zespół naszej rodziny wypowiadał o niej zdanie. Po wyczerpaniu dyskusji ojciec sumował wypowiedzi całego konsylium w dwóch słowach:

— Fajna szynka!!

Dawał mi po tych słowach koniec tęgiego sznurka do ręki i zaczynała się uroczystość krępowania szynki sznurem, co ojciec robił z taką samą zajadłością jak przy wiązaniu sprężyn tapczanu. Kończyło się wszystko zanurzeniem szynki w wyczyszczonym garnku do gotowania bielizny.

Z kolei przychodziły męki moje i braci. Zapach szynki i pieczonej jednocześnie babki miał urok czarodziejski. Czuło się niespróbowany jeszcze — smak kruchej wędliny i uwodzącą woń rodzynek w babce wypełzającą złośliwie z gorącej rury aż pod sam nos. Matka w panicznym strachu zaglądała co chwilę pod kuchnię, to otwierała to zamykała drzwiczki od pieca, to znowu z szalonym krzykiem wpadała na któregoś z nas, gdy otwieraliśmy drzwi do zimnej sieni, bo mogło się ciasto zaziębić (szynce to nie szkodziło). Pamiętam tak zawsze, matką stojącą w płomieniach przy kuchni, rozpaloną, pilnującą narodzin naszego szczęścia w piecu z niepokojem jak by to było wątłe jeszcze dziecko, którego nie można zawiać ani poruszyć.

Na skutek zdenerwowania matki zaczynał się w wielki piątek spór w rodzinie o szynkę, problem kiedy ją z wody wyciągnąć. Ojciec mówił że wystarczy gotować dwie godziny a matka, że trzeba tyle godzin ile kg. waży szynka. Ojciec nie ustępował, żgał widelcem w napęczniałą skórę i przekonywał, że miękka. Matka odwracała wędzoną połeć, parzyła ojcu palce kroplami waru i twierdziła, że trzeba do kości, bo przy kości zawsze twarda. To znowu mojego brata, który chodził do gimnazjum wzywali na doradcę a on mówił:

— Pod widelcem nie czuję czy twarda, radzę spróbować.

Odsuwali go a brat odgarniał ręką spotęgowany zapach wędliny spod nosa i mówił do mnie wzdychając:

— Męki Tantala.

— Co to jest Tantala? — pytałem

— A to, że szynka jest raz do roku a jeść jej nie możesz. Tantal przykuty do skały miał taką samą szynkę pod nosem i jeść jej nie mógł.

— A dlaczego nie mógł, czy to był Wielki Piątek?

— Głupiś to był Tantal. .

Koniec końcem kładliśmy się na wydętym tapczanie i zapadaliśmy w sen o bukszpanie, babce i Tantalu. Przesypiałem całą noc przykuty do skały, głodny i bosy, z wiszącymi nad głową butami i szynką.

W Wielką Sobotę, napięcie z rana przybierało na sile bo matka myła podłogę i popadała w sprzeczkę z ojcem o byle co. Ojciec gniewał się i nie mówił do południa. W południe wychodził na róg po gazety, które miały w ten dzień zawsze kolorowe rysunki i były bardzo pękate. Z tymi gazetami wracał do mieszkania, stawał na wysychającej już bieluteńkiej podłodze, głaskał matkę po włosach, mnie kazał wdziewać nowe buty i wybieraliśmy się na zwiedzanie Grobów. Szedłem ulicami odświętnego miasta z wypiekami na twarzy, usiłując nie zginać podeszew moich nowych butów.

Zaczynał się odtąd błogi spokój i sytość, rzadcy goście w tym domu wchodzący pospołem uroczyście. Zasiadało szczęście na prasowanym w kratki obrusie, na babce stojącej po środku z listkiem bukszpanu w dołku, na szynce najeżonej zielonymi gałązkami.

Na drugi dzień w Wielką Niedzielę zasiadaliśmy uszczęśliwieni do święconego, łamaliśmy się jajkiem, ojciec całował w ten dzień matkę w policzek na oczach całej rodziny, jedliśmy szynkę i ciasto, piliśmy herbatę i brat już nie mówił o Tantalu. Przy herbacie w pierwszy dzień świąt ojciec uśmiechał się do matki i mówił:

— Święta, święta i już po świętach.

To było bardzo dawno i tak jest po niekąd dzisiaj. Żona moja zastępuje matkę a ja swojego ojca. Żona ogłasza zawczasu alarm świąteczny, kupuje bukszpan i kwitnącą wierzbę, kłócimy się w Wielki Piątek, gotujemy szynkę, i tyle, że nie syn ale starsza córka mówi do młodszej o Tantalu. Cieszymy się, że znowu są i kłopoty świąteczne i narodziny babki w piecu a nie jak to było niedawno w czasie nocy okupacyjnej kiedy wszystko to wykreśliła wojna z naszego życia.

A w Wielką Niedzielę mówię jak mój nieżyjący ojciec do żony i dzieci:

— Święta, święta i już po świętach.

SUKCES „WESELA FIGARA”

W OPERZE DOLNOŚLĄSKIEJ

Opera Dolnośląska wystawiła Operę komiczną Mozarta pt. „Wesele Figara“. W ten sposób młoda opera wyłamała się z oklepanego repertuaru operowego, którym stale i niezmiennie jesteśmy częstowani od wielu lat. Pełna uroku i finezji muzyka precyzyjnie wykonana, bez trudu znalazła sobie drogę do zrozumienia i odczucia Mozartowskiego arcydzieła przez słuchaczy. Właściwa interpretacja muzyki Mozartowskiej jest zasługą inicjatora wystawienia tej opery dyr. Kazimierza Wiłkomirskiego, który w pracę swoją włożył wielką znajomość rzeczy, jak i talentu.

Nowością interpretacyjną jest reżyseria prof. Adolfiny Paszkowskiej idąca po linii zespolenia akcji scenicznej z muzyką. Muzyka kieruje ruchami i gestami aktorów, tak że widowisko staje się jedną harmonijną całością muzyczno - wizualną. Reżyseria Paszkowskiej uchwyciła poza tym zna komicie charakter epoki, jej wytworność, czar i dowcip.

Na pierwsze miejsce wysuwa się w zespole aktorskim zarówno grą jak i wokalnie p. Łosakiewicz w roli Zuzanny. Reszta zespołu: pp. Piątkiewicz (hrabina), Studler (hrabia), Wronecki (Figaro), Cenek (Harubin), Zalewska (Marcelina), Winnicka (Basia), Czopek (Basilio) nie pozostawali w tyle.

„Wesele Figara“ spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem publiczności wrocławskiej.



Zofia Łosakiewicz w roli Zuzanny



Maria Piątkiewicz w roli hrabiny

KOMUNIKAT

Sąd Koleżeński Oddziału Warszawskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich na posiedzeniu w dniu 22.3.1948 r. po rozpatrzeniu skargi kol. Leona Kruczkowskiego przeciwko kol. Janowi Rojewskiemu postanawia.

po uznaniu końcowego ustępu artykułu kol. Rojewskiego pt. „Z królem u Radziwiłłów” zamieszczonego w Nr. 47 „Tygodnia” z dnia 23.11.1947 r za krzywdzący moralnie kol. Kruczkowskiego jako pisarza i człowieka.

udzielić kol. Janowi Rojewskiemu upomnienia i wezwać go do dania kol. Leonowi Kruczkowskiemu satysfakcji w formie przeproszenia.

Przewodniczący

(—) Wacław Rogowicz

B-43106

SKLEROZA

W ubiegłym tygodniu nagrodę w postaci książki Andrzeja Struga — „Ludzie Podziemni" — otrzymał p. R. M. z Elbląga za nadesłanie wycinka z „Życia Olsztyńskiego" i „Polski Ludowej".

2 + 2 = 3 (+ 1 KIELISZEK WÓDKI)

„Życie Olsztyńskie" zamieszcza sprawozdanie „mx" z posiedzenia „Komitetu aktywizacji rejonu Elbląga". W sprawozdaniu czytamy:

„Dyrektor gdańskiej Dyrekcji Odbudowy ob. inż. Welczer poddał analizie możliwości przepracowania pół milionowego kredytu mieszkaniowego. wysuwając sugestię. że suma ta może być przepracowana według następującego rozdzielnika: Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane — 200 milionów zł, wydział techniczny Zarządu Miejskiego — 100 milionów zł. Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane — 50 milionów zł, pozostałe zaś 130 milionów złotych na sektor prywatny".

Z prostego rachunku dodawania wynika, że pozostało jeszcze do „przepracowania" — 20 milionów zł. Albo inż. Welczer w czasie „analizy przepracowania" był przepracowany, albo sprawozdanie nie zostało przez „mx" przepracowane. Albo ktoś tu pił wódę.

(Nadesłał R. M. z Elbląga).

ORGANY CZAJKOWSKIEGO

Poznańska „Polska Ludowa" w rubryce „Echa świata" przynosi swoim czytelnikom sensacyjną wiadomość o organach sali koncertowej im. Czajkowskiego w Moskwie.

„Organy te przewieziono z Leningradu gdzie leżały ponad 100 lat w cerkwi im. Piotra i Pawła. Instrument ten posiada około 5.000 piszczałek o długości od 6 do stupięćdziesięciu metrów".

Te stopięćdziesięciometrowe piszczałki to te najstarsze, stuletnie. Rosły aż urosły. Trochę urosły, a trochę te organy redaktor wyssał z własnego organu t. zn. palca

(Nadesłał R. M. z Elbląga)

P.K.O. NA DREWNIANYCH RAMACH

W „Życiu Warszawy" z dnia 8 marca br. znalazło się ciekawe ogłoszenie PKO o przetargu nieograniczonym:

„na wykonanie i dostawę 2.000 tablic emaliowanych z napisem: Zbiornica Pocztowej Kasy Oszczędności PKO na ramach drewnianych".

Autor tego ogłoszenia kwalifikuje się rzeczywiście „na drewnianą ramę".

(Nadesłał p. Stanisław Kamiński z Cukrowni „Michałów").

SKĄD BIORĄ SIĘ ŻARÓWKI NA CZARNYM RYNKU?

„Ekspres Wieczorny" w Nr 70 z dn. 11 marca br podaje:

„Powszechny Dom Towarowy przy ul. Złotej sprzedaje żarówki po jednej na osobę, ale tylko w godzinach od 3 do 6-ej po południu. (3 godziny dziennie). W ten sposób sprzedaje się 120 żarówek na godzinę a 1.000 dziennie".

Dlaczego więc „Express" dziwi się zarazem w następnym numerze 71 z dn. 12 marca br., że żarówki ukazały się na czarnym rynku, skoro PDT sprzedaje w ciągu 3 godzin 360. a reszta prawdopodobnie dostaje się na czarny rynek.

(Nadesłał J. Siwak z Otwocka)

KOŃ, KTÓRY ZASTĘPUJE KILKA CIĘŻARÓWEK

„W liczbie organizujących się ferm znajduje się sto ferm Włodzimierskich, które hodują olbrzymie konie pociągowe. Konie te, oznaczają się wyjątkową zdolnością do pracy i mogą ciągnąć ciężary o wadze dziesiątków ton".

Taką notatkę o koniach podała „Wolność" w Nr 48 (1042) dodając jeszcze jedną ciekawą wiadomość o właściwościach koni do tej, którą podaliśmy w poprzedniej „Sklerozie" na podstawie „rewelacji" „Dziennika Zachodniego"

(Nadesłał p. D. Maciołek z Podobowic).

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Z dniem 1 marca br. weszła w życie w Szwajcarii nowa taryfa pocztowa w obrocie zagranicznym. W związku z tym nastąpiły zmiany w obiegowej serii widokowej, której poszczególne wartości były wypuszczane w latach 1936 — 43. Cała seria składała się z 9 wartości, z których trzy (3. 15 i 35 c.) pozostają nadal bez zmiany w obiegu. Pięć znaczków zmieniło swą barwę, a mianowicie: 5 c. z niebieskozielonej na żółtobrązową, 10 c. z jasnobrązowej na niebieskozieloną 20 c. z czerwonej na jasnobrązową. 30 c. z niebieskiej na niebieskoszarą i 40 c. z szarej na niebieską. Wreszcie jeden znaczek (25 c.) zmienił i kolor i rysunek. Dotąd był utrzymany w barwie brązowej i przedstawiał Via Mala, obecnie w kolorze czerwonym wyobraża fragment Parku Narodowego. Ten właśnie znaczek reprodukujemy w dniu dzisiejszym. Wszystkie wyżej wymienione znaczki weszły do obiegu 15 marca br.

*

Marcowy numer (13) słowackiego miesięcznika „Sberatel" przynosi dwie dość znamienne zmiany cen znaczków polskich. Seria „szwajcarska" (oświatowa) kosztuje obecnie w Czechosłowacji 200 Kcs., a bloczek — 1.000 Kcs. Jeszcze niedawno, bo w grudniu 1947 r., katalog Kolara podawał cenę za te znaczki: 90 i 150 Kcs. W ciągu więc trzech zaledwie miesięcy cena za serię podskoczyła przeszło dwukrotnie, a za bloczek — prawie siedmiokrotnie! Świadczy to najlepiej o coraz większym zainteresowaniu polskimi znaczkami za granicą. Żebyśmy tylko potrafili wykorzystać koniunkturę i nieprzemyślaną polityką wydawniczą nie zaprzepaścili wyjątkowej okazji.

Witold J. Orłowski

Stare dowcipy

×

ŚWIEŻE SIŁY

— Po co ci ten antałek piwa w mieszkaniu?

— Lekarski przepis, przyjacielu! Lekarz mi powiedział, że piwo wskrzesi moje siły.

— I pomogło?

— A jakże! Gdy przyniosłem antałek do mieszkania, to zaledwie go podniosłem, a teraz go podnoszę bez wysiłku.

×

— Powiedz ojcze, gdzie żem się urodził?

— W Bratysławie!

— A mama?

— W Pradze!

— A ty?

— W Koszycach!

— To jest naprawdę zdumiewająca przygoda, żeśmy się tak razem we troje spotkali!

×



— Słyszysz, chłopcze, nie powiem matce, że palisz, ale dasz mi popalić!

×

— Gryzie wasz pies, panie karczmarzu?

— Nie!

— Szkoda!

— A dlaczego?

— Mógłby mi pomóc gryźć mięso, co mi go pan przyniósł do jedzenia.

×



Fragment wnętrza sklepu Pomorskiej Spółdzielni Księgarskiej i Papierniczej „Nauka" w Spółdzielczym Domu Towarowym w Bydgoszczy

Odpowiedzi Redakcji

Stała Czytelniczka w Nowym Bytomiu. Należy skomunikować się listownie z Działem Szkolenia „Społem" (Warszawa ul. Grażyny 22) luz Związkiem Rewizyjnym Spółdzielni Rzpl. (Warszawa, ul. Kopernika 30).

Pani Irena Janiszewska we Włochach. Nie rozumiemy o jaką kliszę Pani chodzi. Prosimy o konkretne sprecyzowanie zapytania.

P. Irena Rettig w Krotoszynie. Zamieszczamy co tydzień jedną zagadkę, a jest ich bardzo wiele, dlatego nie na leży niecierpliwić się. Inne życzenia Pani zostaną wkrótce zrealizowane. W najbliższych numerach rozpoczniemy druk nowej powieści znanego pisarza-marynisty Stanisława Marii Salińskiego. Ceny pisma już nie podwyższymy. Niestety, nakład nasz jeszcze daleki jest od tego jaki Pani przypuszcza, a powiększenie jego zależy od naszych miłych Czytelniczek i Czytelników, bo na kosztowną propagandę nie stać nas, gdyż cały ciężar wydawnictwa dźwigamy na barkach zespołu redakcyjnego i administracyjnego.

P. Antoni M'ara w Przemyślu. Dziękujemy za zjednywanie nam Czytelników. Wiadomości z ziemi rzeszowskiej już podawaliśmy. Wkrótce wyszlemy naszego przedstawiciela do Przemyśla. Projekty zagadek i „Sklerozę" wykorzystamy. Za życzenia świąteczne dziękujemy.

P. Zofia Psarska w Gliniku Mariam polskim. Istotnie „Rozrywka" boryka się z dużymi trudnościami finansowymi, bo nie spotkała się z takim poparciem jakiego przypuszczaliśmy. Nie mniej robimy wszystko, aby ją kontynuować. Prosimy o nowe zadania. Za życzenia dziękujemy.

P. Bogdan Brzeziński w Krakowie. Honorarium wysyłamy pocztą. Nie wysłaliśmy go dotychczas, bo zaginął nam Pana adres. Na dobre rzeczy zawsze reflektujemy.

P. A. B. z Jeleniej Góry. Rozwiązanie zadań „Kącika brydżowego" podajemy.

P. Halina Sierakowska z Gdyni. Drugi numer „Rozrywki" jeszcze nie wyszedł. Po ukazaniu się — roześlemy do wszystkich miłośników rozrywek umysłowych.

P. Aleksander Jandaga w Kaliszu. Artykuł nadesłany przez Pana jest zbyt ogólnikowy i porusza sprawy ogólnie znane, bezsporne i nie nadaje się jako dyskusyjny.

Kącik BRIDŻOWY

Rozwiązanie zadania z nr. 11 (87) „Tygodnia".

Grę należy doprowadzić do stanu:
„N" — As pikowy, 5 i 2 kier,
„E" — D kier, D karo i mały trefl,
„S" — 9, 8 pik i mały kier,
„W" — K. 7 pik i mały kier.

W tym momencie „S" gra kier, utrzymuje się „E" damą i musi wyjść do „S" pod podwójny renons.

Wobec niewykonania w terminie kliszy — w następnym numerze podamy dwa zadania. **L. R.**

SPROSTOWANIE

Numer świąteczny „Tygodnia" okazał się w zwiększonej objętości, co pociągnęło za sobą oczywiście większą ilość błędów

Na str 17 zamiast „Spółdzielczość Rolnicza na Podkarpaciu", mylnie podano „Spółdzielczość Robotnicza".

Mniejszych błędów nie prostujemy, gdyż zapewne Czytelnicy nasi sprostowali je już sobie sami i wybaczą nam, że było ich więcej niż przewidywał plan.

Do rebusa „Kasty", zamieszczonego w nr 11 (87), należy dodać objaśnienie: Godło pośrednika.

MASAŻ W WALCE ZE ZMARSZCZKAMI

Jednym z najskuteczniejszych zabiegów kosmetycznych przeciwko wszelkiego rodzaju zmarszczkom jest m a s a ż.

Rozróżniamy masaż ręczny, wibracyjny i elektryczny.

Już w czasach starożytnych stosowano masaż powszechnie i nadawano mu znaczenie niemal że religijnego rytuału. Zdolni masażyści stawali się z biegiem czasu ludźmi bogatymi, a często z niewolników awansowali na ludzi wolnych. W czasach najdawniejszych pierwszy Hippokrates zaleca masaż przy chorobach stawów. Sztuka masażu zrodzona w starożytnym Rzymie przeszła do Gallów, Celtów, wreszcie do Egiptu i Chin. W czasach średniowiecznej ascezy i cielesnych umartwień masaż, jak i wszystko co z kulturą ciała miało coś wspólnego, upada, by w epoce naszej znów szeroko rozpowszechniać się i zdobyć od powiednie miejsce w medycynie i kosmetyce.

Wiemy o tym, że istnieje masaż leczniczy, który ma zastosowanie przy wszelkiego rodzaju zwichnięciach, złamaniach, nerwobólach, chronicznych stanach zapalnych stawów i mięśni, przy ich zanikach, skrzywieniach kręgosłupa, porażeniach itp. Nas interesuje tutaj masaż tzw. kosmetyczny.

Przy kosmetycznym masażu ręcznym decydującą rolę odgrywają oczywiście umiejętności i doświadczenie rąk masujących.

Przy masażu elektrycznym na skórę działają iskierki pochodzące z wyładowań prądu.

Masaż wibracyjny polega na wibrowaniu w zetknięciu ze skórą odpowiednio skonstruowanych nasadek gumowych, przyczem siłą pędną jest również elektryczność.

Masaż ręczny daje pozytywne wyniki tylko wtedy, o ile go robi ręka wykwalifikowana i znakomicie wyszkolona. Nieudolnie wykonany masaż ręczny może przy leczeniu zmarszczek dać rezultaty wręcz odwrotne od pożądanych. Zmarszczki, które miały zniknąć występują jeszcze wyraźniej i obficiej. Skóra nieumiejętnie potraktowana rozciąga się i obwisa. W sumie — niefachowy masaż może wywołać b. przykre efekty.

Masaż wibracyjny ma w kosmetyce tę zaletę i wyższość, że może być wykonywany własnoręcznie. Przedmioty służące do tego rodzaju masażu można łatwiej czyścić i dezynfekować niż rękę masażystki. Wreszcie — masaż ten jest bardziej precyzyjny i subtelniejszy od ręcznego, co jest przede wszystkim ważne, gdy chodzi o drobne zmarszczki, zjędrnienie skóry i o działanie na małej przestrzeni; przy masażu ręcznym jest to prawie niemożliwe.

Do masażu wibracyjnego służą gumowe nasadki, umieszczone na rączce i wprawiane w ruch prądem elektrycznym. Komplet do masażu wibracyjnego składa się z kilku nasadek. Zależnie od ich formy, wielkości i twardości służą one do masażu różnych części ciała. Inne do twarzy, inne do szyi i biustu. Najbardziej rozpowszechnione są nasadki w postaci gąbek, szczoteczek gumowych, tarczek z krótkimi i miękkimi kolcami oraz w formie ssących dzwonów. Nasadki służące do masażu biustu są podobne lecz zrobione z gładszego materiału. Do masowania pewnych określonych punktów służą gumowe twarde gałki.

W następnym artykule omówię dalsze sposoby zwalczania zmarszczek, a przede wszystkim tzw. kąpiele przemienne.

Dr. med. J. M.

*

Dział indywidualnych porad kosmetycznych pt. „Pielęgnujmy urodę!" prowadzi w naszym tygodniku znana kosmetyczka warszawska p. **Janina Szymczak** — kierowniczka popularnego gabinetu i laboratorium kosmetycznego — Warszawa, ul. Krucza 46.



KTO WYNALAZŁ MASZYNĘ DO SZYCIA?

Jesteśmy prawie pewni, że gdyby w jakimś naszym konkursie, nawet z wysokimi nagrodami, postawić pytanie: „Kto wynalazł maszynę do szycia?" — dobrych odpowiedzi otrzymalibyśmy niewiele. Co do tego nie mamy żadnych wątpliwości, gdyż naprawdę mało kto zna nazwisko prawdziwego wynalazcy tak rozpowszechnionego obecnie na całym świecie przyrządu, uważając zgoła niesłusznie, że jest to twór znanego fabrykanta amerykańskiego Singera. Tak jednak nie jest.

Wynalazku maszyny do szycia dokonał Francuz, krawiec z Saint-Etienne, Bartłomiej Thimoninez (1792—1857). Swój epokowy wynalazek zrealizował on w r. 1830 po kilkuletnich badaniach i doświadczeniach konstrukcyjnych.

Oczywiście, ta pierwsza maszyna do szycia nie była zbyt podobna do obecnych, jednak dokonała i tak prawdziwego przewrotu w kunszcie krawieckim.

Thimoninez zapragnął przewalutować swój wynalazek na pokaźniejszą gotówkę, przeniósł się do Paryża i przy ul. de Sevres uruchomił wielki zakład krawiecki, budząc sensację „maszynowym szyciem ubrań".

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że wielki wynalazek przyniósł jego twórcy fortunę. Niezadowoleni z konkurencji krawcy paryscy wystąpili zwartym frontem przeciwko „nowatorskiej bujdzie" i zgnębili doszczętnie firmę Thimonineza, który — zrujnowany — umarł w r. 1857 w skrajnej nędzy.

E. T.

KLUB POLIGAMISTÓW

KLUB poligamistów istnieje i działa w Belgii, kraju nawskroś katolickim, a nie w Egipcie lub Turcji, jak wolno się tego było spodziewać. Klub oczywiście nie występuje z otwartą przyłbicą i używa nazwy zupełnie neutralnej. Zarząd jednak, ani członkowie nie kryją się zupełnie z tym, że nie uznają instytucji jednożeństwa. Bogaci snobi twierdzą, że zdołali przekonać swoje ślubne małżonki o niecelowości zachowywania wierności małżeńskiej przez mężczyzn. Usiłowali nawet wmówić ciekawym reporterom, że żony są zadowolone z tego stanu rzeczy.

Ze swej strony proponowalibyśmy znudzonym snobom nową nazwę dla klubu: Klub bogatych rogaczów. (P)

Pielęgnujemy urodę

NADMIERNE OWŁOSIENIE

P. Helena Z. Bydgoszcz. Nadmiernego owłosienia na brodzie nie należy usuwać przez golenie żyletką, jak to Pani już trzykrotnie robiła, lecz — przecierać 3 procentową wodą utlenioną, a włosy dzięki temu staną się jaśniejsze, mniej sztywne i w rezultacie — mniej widoczne.

Radykalnym sposobem usuwającym zbędne owłosienie jest elektroliza (działanie prądem galwanicznym).

SUCHA CERA

P. Irena Kosm. — Włocławek. Ponieważ Pani „nie znosi absolutnie" mydła — należy więc myć twarz świeżą śmietanką lub oliwą sojową. Opłókiwać twarz ciepłym wywarem ze ślazu: jedną łyżeczkę od herbaty ślazu zalać szklanką zimnej wody, gotować przez kilka minut, następnie przecedzić i dodać do tego 10 — 20 kropli gliceryny.

Dla „odżywienia" skóry stosować „maseczki" sporządzone w następujący sposób: 10 gr. białej wazeliny, 1/2 łyżeczki świeżej oliwy jadalnej, 1/2 żółtka. Wszystko dokładnie razem utrzeć i rozsmarować na twarzy i szyi. Pozostawić tę „maseczkę" na twarzy przez 20 — 30 minut, a następnie zmyć ciepłą wodą i dokładnie osuszyć.

PIEGI

P. Danuta H. — Wrocław. Miejsca pokryte piegami (nos i policzki) przecierać dwa razy dziennie sokiem cytrynowym. Do mycia twarzy stosować mydła ogórkowe lub benzoesowe.

Później, gdy będą w sezonie pomidory lub ogórki, będzie Pani mogła stosować z nich „maseczki", względnie — wyciskając z nich sok — przemywać nim miejsca piegowate.

Janina Szymczak

ŁEKARZ ZNACHOR

Protekcjonalnemu poklepaniu towarzyszy uszczypliwe pytanie „Co słychać w ziółkach, znachorze?" (Autentyczne! przyp. red.) Młody, zdolny lekarz internista zdaje sobie sprawę, że trzeba się opanować, bo nie godzi się znacznie starszemu, wpływowemu, choć złośliwemu koledze - lekarzowi, rąbnąć siarczystą odpowiedź. Odkąd po wnikliwym, długotrwałym i szczegółowym zapoznaniu się z ziołolecznictwem zaczął leczyć i to skutecznie krajowymi ziołami i środkami pochodzenia roślinnego, spotyka się z podobnymi drwinami i kpinami. Ma większe zmartwienie. Otóż, sprawdzając otrzymywane przez pacjentów w wymaganym stosunku przepisane zioła, przekonywuje się, że otrzymują oni tylko część z nich wg. recepty, a wzamian brakujących zupełnie inne. Zrozumiałe, że wydane mieszanki nie mogły działać. Perswaduje, tłomaczy, uczy robienia mieszanek, grozi, traci na to dużo czasu i energii. Nie zraża się jednak i za to należy mu się duże uznanie, nie tylko jego pacjentów, ale i całego społeczeństwa. Idzie przecież w szczuplutkiej liczbowo awangardzie szczególnie młodych lekarzy, którzy z dużym trudem, często w przykrym osamotnieniu torują drogę leczeniu środkami naturalnymi, krajowymi, których jest poddostatkiem. Zmierzają do tego, co już dawno osiągnęli ich koledzy wschodnich i zachodnich krajów europejskich i zamorskich. I tam trwała wiele dziesiątków lat **wojna podjazdowa** między dwoma obozami: medycyną oficjalną i „medycyną ziołową" u nas nazwaną „medycyną ludową" albo częściej **znachorstwem.** Nierozsądne u nas do ziołolecznictwa uprzedzenia, przeciw którym od dawna walczą niektórzy nasi lekarze i farmaceuci, rozdrabniają i paraliżują wysiłki zmierzające do podniesienia powszechnej zdrowotności w kraju. Zajmowanie w tej sprawie stanowiska negatywnego, utożsamianie ziołolecznictwa ze znachorstwem, pomawianie zmierzających do udostępnienia, w granicach rozsądnych, szerszemu ogółowi nabywanie jakościowo najlepszych i tanich ziół, o ułatwienie samoleczenia i doprowadzenie do partactwa lekarskiego, należałoby piętnować jako szkodnictwo narodowe. Trzeba jednak wierzyć nie tylko w zanik tego rodzaju nierozumnych tendencji, ale w natychmiastowe i zdecydowane podjęcie akcji kół powołanych, a szczególnie organizacji społecznych i medycyny oficjalnej do wprowadzenia w kraju ziołolecznictwa. Trzeba się domagać wykorzystania starych źródeł ziołolecznictwa i odkrywania świeżych. Uwolniwszy od zbędnej mistyki i nieskutecznego balastu prawiedzę o stosowaniu ziół, należałoby ją sprząc ze wskazaniami nowoczesnej wiedzy o leczeniu ziołami. Ostanie się ziołolecznictwa nawet w okresie rozkwitu przemysłu chemo-farmaceutycznego, jest najlepszym dowodem jego trwałości, wartości i niezbędności. Nie przyniesie nam ujmy, usprawiedliwione 6-letnią okupacją, sięgnięcie po gotowe zagraniczne wyniki naukowe. Społeczeństwo odwołuje się do:

1) władz rządowych i powołanych uczelni na wszystkich wydziałach przede wszystkim Lekarskich, Farmaceutycznych i Chemicznych o wprowadzenie do programów nauczania wiedzy o ziołach, ich stosowaniu.

2) zarządów klinik wojskowych, społecznych i prywatnych o podjęcie praktycznych badań klinicznych nad skutecznością ziół.

3) Tow Naukowych, zespołu naukowców i lekarzy - praktyków, stosujących fyto - terapię, aby dla dobra ogółu zainicjowali dla lekarzy stałe wykłady wprowadzające ich w praktyczne ziołolecznictwo.

4) uspołecznionych farmaceutów, aby lekarzom pionierom ziołolecznictwa, ułatwiali ich zadanie przez wprowadzenie do aptek stosowanych ziół najlepszej jakości i przygotowania ich **wiernie** z receptami,

5) uspołecznionych - farmaceutów i chemików - przetwórców ziół do uruchomienia wielkiego przemysłu zielarskiego, który może zastąpić w różnej postaci prawie, że wszystkie importowane leki chemiczne i surowce,

6) Instytutów i stacji doświadczalnych, aby plantatorom, zbieraczom i jednostkom gospodarczym dostarczali stale najświeższe wyniki o uprawie, zbiorze, suszeniu, przechowywaniu i ocenie ziół,

7) sfer rolniczych, aby tanio produkowały **poszukiwane** rośliny ziół najlepszej jakości.

8) jednostek gospodarczych i społecznych, aby udostępniły przetwórniom i ogółowi tanie i wyborowe zioła.

9) wydawców, aby ułatwiali wydawanie wartościowych dzieł i podręczników o **ziołach, szczególnie receptariusz.**

10) Właściwych władz o powołanie do życia społecznej organizacji harmonizującej działalność poszczególnych odcinków zielarstwa zgodnie z potrzebą ogółu.

Byłoby nierozsądnie ukrywać, że już w okresie powojennym niewielu w kraju lekarzy stosowało zioła i ich przetwory. Zagranicą natomiast lekarze niestosujący ziół byli bardzo nieliczni. Do powszechnego użycia zioł doszło tam czasu wojny. Przyznać trzeba, że postęp ten ułatwiony przez: włączeniu do studiów med. wiedzy o leczeniu ziołami, nieprawdopodobnej ilości gruntownych dzieł i podręczników o ziołach, nadto receptariuszy, poczem przez systematyczne badanie kliniczne nad skutecznością ziół. Nie ma tam ulicy bez sklepu zielarskiego, domu bez podręcznej apteczki z szeregiem ziół używanych w razie potrzeby, bez kilku podręczników i broszur o ziołach.

Niespotykany zagranicą nawrót do ziołolecznictwa i zwrot do niego medycyny naukowej, powinien nasze wahające się sfery lekarskie, społeczne i gospodarcze ostatecznie i jak najrychlej przekonać o wadze i jego znaczeniu, ale także spowodować do zorganizowania ogólnokrajowej akcji, w tym kierunku.

Należy się nie tylko spodziewać, ale domagać, aby wyniki wykonania tego zadania przez zespoły uspołecznionych naukowców, biologów, botaników, przetwórców, rolników, sfer gospodarczych i społecznych w niedługim czasie odczuło dodatnio całe społeczeństwo.


Modele i Fotografie:
„Harper's Bazaar",
„Vogue",
„Ambassador".
NOWY SEZON

Z SZEROKIEGO świata



Premier Hindustanu Pandit NEHRU w ogrodzie swej willi w Delhi opowiada bajki swemu ukochanemu wnukowi trzyletniemu Rajiva Gandhi



Prezydent nowej Federacji Malajskiej sultan Johoru przemawia na kostytucyjnej konferencji „Ich Wysokości - Władców" państw związkowych



Romantyczny i po malarsku piękny obrazek ze stepów Tadżykistanu. Hodowla koni jest jedną z poważniejszych pozycyj w gospodarstwach tego stepowego kraju. (Fot. SIB—Moskwa)



Nie tylko ćmy, ale i ryby ciągną do światła. Wiedzą o tym rybacy na wyspach Hawajskich, wybierając się na nocne połowy i oświetlając wodę specjalnie zainstalowanymi nad głową pochodniami naftowymi



Na lotniskach RAF-u dla odstraszenia ptactwa, które niszczy i zanieczyszcza pozostawione na powietrzu samoloty, pomysłowa obsługa wprowadziła do akcji „eskadry" tresowanych sokołów. Na zdjęciu: jeden z najsławniejszych sokolich asów, pogromca setek wron i tysięcy wróbli



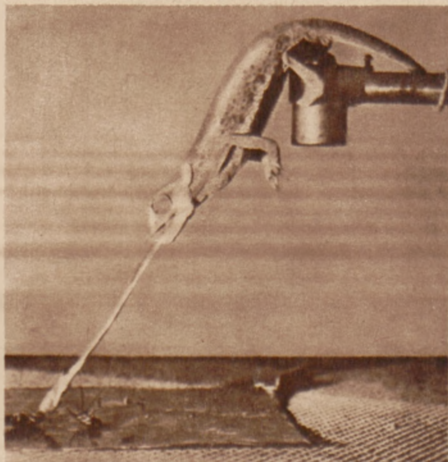
Marszałek Woroszyłow jako delegat Z.S.R.R. odwiedził Budapeszt w 100-letnią rocznicę rewolucji węgierskiej.

SENSACYJNE ZDJĘCIE

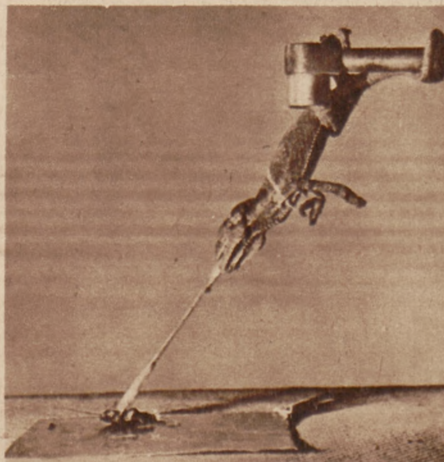


Żywa syrena w Warszawie! Zdjęcia dokonał nasz współpracownik w dn. 1.IV br.! Patrz szczegóły w art.: „Światowa sensacja pod mostem Poniatowskiego" na str. 6 wewnątrz numeru

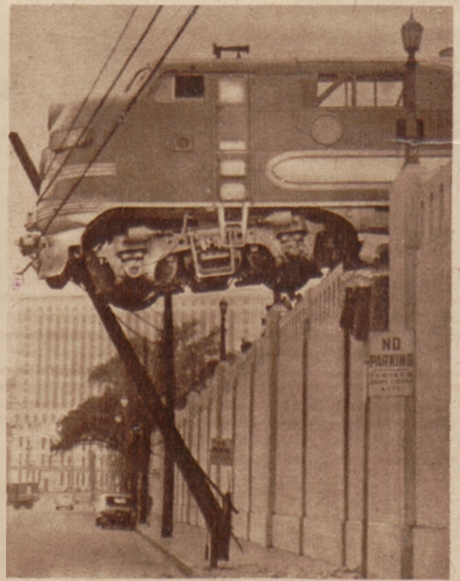
CUDA FOTOGRAFII BŁYSKAWICZNEJ



Ciekawe dla fotografów i przyrodników: błyskawiczne zdjęcie pokazujące wyraźnie w jaki sposób poluje na swe ofiary kameleon



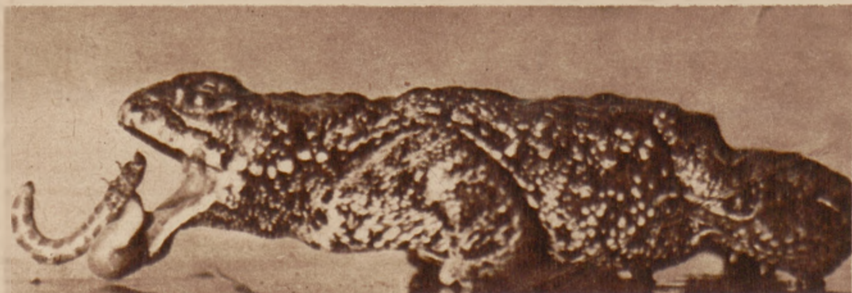
Błyskawiczny „strzał" języka kameleona „zamrożony" zdjęciem przy lampie elektronowej Edgertona. Czas naświetlania: 1 : 1.000.000 sek.



Niezwykła katastrofa w Los Angeles. Lokomotywa miejskiego pociągu skręciła ze swego toru i zawisła w połowie nad przebiegającą poniżej ulicą miasta.



Irlandzka ropucha zauważyła podsuwanego jej do pożarcia robaka i przyczajona wysuwa swój mięsisty język, przygotowując go do ataku



Zdobycz już upolowana. Utrwalony błyskawicznym zdjęciem moment kiedy ropucha wrzuca swą ofiarę do pyszczka

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 86-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 90 zł., półroczna 520 zł., roczna 1000 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.
R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakł. Wklęsłodruk. R. S. W. „Prasa", W-wa